
3 WYCIECZKI ZAGRANICZNE

**Słoneczna Bułgaria * Śmierć matki * "Rubin" * Świnoujście - Ahlbeck
* Proces tłumacza * Harcerze w Bieszczadach * Moskwa - Krym - Kijów**

Kilkanaście dni przed końcem czerwca 1971 r., Grześ w czasie przerwy lekcyjnej, bawiąc się na podwórku szkolnym, spadł z drążków gimnastycznych tak nieszczęśliwie, że złamał sobie prawą rękę. Jak się później okazało - złamana została kość promienio-wa przedramienia, przy czym nastąpiło też jej przemieszczenie. Prowadziłem rokowania z jakimś inwestorem, gdy powiadomiono mnie telefonicznie o wypadku. Natychmiast samochodem służbowym pojechałem do szkoły, lecz tam syna już nie było, gdyż nieco wcześniej karetka pogotowia, wezwana przez moją żonę, zabrała go do szpitala przy ul. Siemiradzkiego. Pojechałem tam oczywiście niezwłocznie, zastając już żonę w poczekalni przed gabinetem chirurgicznym, gdzie złożono złamaną kość i założony został na rękę usztywniający opatrunek gipsowy.

Nasz drugoklasista ponoć cały czas po wypadku sprawował się bardzo mężnie, nie skarżył się i nie płakał. Natomiast zrozpaczona była wychowawczyni klasy, która później wiele razy dzwoniła do nas z pytaniem, jak się Grzesiek czuje. Czuł się dobrze i intensywnie uczył się rysowania i pisania lewą ręką. Opanował tę sztukę po kilku tygodniach i, można powiedzieć, że stał się potem na pewien czas "dwuręcznym".

Realizując pierwotne plany wakacyjne, kilka dni po zakończeniu roku szkolnego, odwiozłem obydwu synów do Kępna, po czym niezwłocznie wróciłem do Krakowa, do pracy. Moja mama bardzo ich zapraszała. Wkrótce przyjechali do babci również Grażyna, świeżo po maturze, i Janusz na kilka tygodni lipcowych, bo później wyjeżdżali z rodzicami na wczasy nad Bałtykiem. Zaś 20 lipca przyjechała także ciocia Nela, która zresztą od wielu już lat przyjeżdżała do swej siostry na okres letnich wakacji.

Po śmierci ojca, mamusia starała się całe gospodarstwo i dom prowadzić tak jak poprzednio, to znaczy, praktycznie biorąc, pracowała bez mała za dwoje. Najwięcej pracy związanej było z prowadzeniem ogrodu. Nieco pomagała jej w tym sąsiadka Jadzia, też samotna, a młodsza o kilkanaście lat, u której z kolei mama przebywała często wieczorami. Wspomagały się też na różne sposoby: w zakupach i załatwianiu różnych spraw w mieście, w przygotowywaniu wspólnych posiłków itp.

Wakacyjny pobyt naszych synów u babci znów był podobny do poprzednich wakacji. Babcia dogadzała im jak mogła, gotowała sterty smakowitych pierogów, nawarzyła im słodowego piwa, a oni objadali się owocami z ogrodu i sadu, które sami zrywali. Bawili się ze sobą, chodzili nad pobliską rzeczkę Samiczkę, grali w szachy lub karty z cicią itd. Co nieco pomagali babci w różnych pracach, przywieźli z tartaku drewno na opał na cały rok, pomalowali wrota farbą olejną itp.

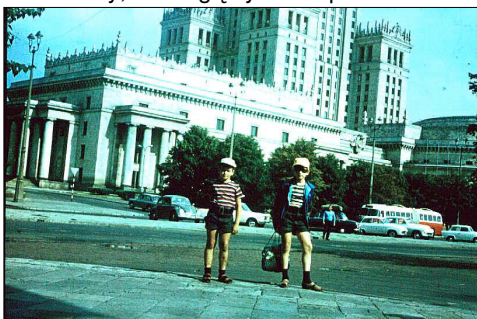
Grześ cały czas nosił na prawym przedramieniu opatrunek gipsowy, jaki dodatkowo, przez pierwsze dwa tygodnie nosił na temblaku. Zrobione po miesiącu zdjęcie rentgenowskie wykazało wprawdzie, że kość w miejscu złamania się zrosła, ale z pewnym przesunięciem i pod kątem. Więc Grześ nadal nosił swój gipsowy opatrunek, złożony z dwu oddzielnych łupin, które obwiązywało się bandażem.

Jeszcze w lutym, mając do wyboru szereg ofert wyjazdów wakacyjnych, organizowanych przez "Turystę", zdecydowałem się na skorzystanie z dwutygodniowych wczasów w okresie 13-27 sierpnia w Słonecznym Brzegu w Bułgarii. Przewidywaliśmy w związku z tym, że nasi chłopcy muszą wrócić do Krakowa najpóźniej 6 sierpnia, by był czas na odpowiednie przygotowanie się do zagranicznej eskapady. Chciałem po nich

do Kępna wyjechać, ale za radą mamy, ostatecznie przyjechała z nimi ciocia Nela. Miało to swoje późniejsze reperkusje.

Mianowicie ciocia Nela była spokojna, wprost flegmatyczna, samolubna w swych poczynaniach, a niezaradna w różnych sytuacjach życiowych i przy tym lekkomyślna. Chyba wynikało to z jej stanu staropanińskiego. W dniu planowanego wyjazdu do Krakowa grała w karty z chłopcami i opalała się w ogródku, w rezultacie czego pakowanie rzeczy chłopców i przejście na dworzec kolejowy odbyło się w wielkim pośpiechu i zdenerwowaniu, oczywiście głównie mej mamy. W rezultacie Grzesiek miał na nogach sandały nie od pary, a wiele rzeczy, sweterków, bucików pozostało w różnych kątach. Później mama to wysłała w ekspresowej paczce do Krakowa, nie mając bynajmniej pewności, czy dojdzie ona do nas na czas, przed wyjazdem do Bułgarii. Niewątpliwie to zdenerwowanie mamy było nadmierne, my bez tych rzeczy obylibyśmy się, ale mamusia moja już taka była: zawsze energiczna, zapobiegliwa i o wszystko się troszcząca.

Ciocie Nelę na kilka dni zatrzymaliśmy w Krakowie, proponując jej zwiedzenie miasta i wspólny wyjazd do Warszawy, skąd miała już blisko do Próchenek w powiecie łosickim, swego miejsca zamieszkania. Nela dawno w Krakowie nie była, więc chętnie przystała na tę propozycję. Dopiero po czterech dniach pojechaliśmy wszyscy pięcioro rannym pociągiem do Warszawy. Stolica przywitała nas deszczem, lecz nie przeszkadzał nam on w przejeździe do hotelu przy ul. Kruczej, gdzie wynajęliśmy pokój na jedną dobę. Deszcz nie powstrzymał nas też przed udaniem się do sklepów w centrum handlowym przy ul. Marszałkowskiej. Tam Nela zrobiła jakieś zakupy dla siebie, my również kupiliśmy album ze zdjęciami Warszawy i różne drobiazgi garderobiane, jakie sądziliśmy, że mogą być nam potrzebne w Bułgarii.



Przed Pałacem Kultury i Nauki

Bułgarii, co uzgodniliśmy jeszcze w lutym przy składaniu zamówienia w "Turyście".

Rankiem następnego dnia pojechaliśmy wszyscy pięcioro z bagażami na Okęcie, gdzie z Międzynarodowego Dworca Lotniczego o godzinie 10,50 mieliśmy odlecieć do Sofii. Na Dworcu Lotniczym szybko odszukaliśmy w umówionym miejscu pilota "Turysty", a wkrótce wokół niego zebrała się cała kilkudziesięcioosobowa grupa wycieczkowiczów do Słonecznego Brzegu.

Do Bułgarii poleciliśmy nowoczesnym, dwusilnikowym samolotem odrzutowym Tu-154 bułgarskich linii lotniczych "Bałkan". Na lotnisku w Sofii wylądowaliśmy po dwóch godzinach lotu. Dalszą drogę do Burgas mieliśmy odbyć mniejszym samolotem w godzinach późno popołudniowych. Pilot wycieczki proponował, by te około 5 godzin czasu poświęcić na zwiedzanie stolicy Bułgarii, co przewidziane było w programie wycieczki, na życzenie uczestników.

Wszyscy chętni pojechaliśmy autobusem do centrum milionowej Sofii. Oglądnęliśmy fragment śródmieścia, zabudowany reprezentacyjnymi budynkami rządowymi,

monumentalną, bizantyjską bazylikę Św. Zofii, okazały meczet średniowieczny i budujące się metro. W szczególności w trakcie drążenia wykopów metra odkryte zostały bardzo stare, pamiętające czasów rzymskich, fundamenty i mury, które zostały odpowiednio wyeksponowane i udostępnione jako atrakcja turystyczna.

Do Burgas, odległego od Sofii o 350 kilometrów, lecieliśmy turbośmigłowym górnopłatem Il-28 na stosunkowo niewielkiej wysokości. Można było więc swobodnie obserwować tereny Niziny Trackiej, nad którą przelatywaliśmy. Zaintrygowało mnie kilka rzeczy. Bułgaria z lotu ptaka różniła się znacznie od krajobrazu polskiego. Głównie tym, że tereny uprawowe dzieliły się na wielkie prostokątne obszary pól, podczas gdy w Polsce mamy bardzo urozmaiconą szachownicę wąskich poletek, powyręczanych na wszystkie strony. Po tym zresztą poznawałem, lecąc wielokrotnie samolotami, że samolot jest już nad Polską.

W skośnych promieniach słońca co chwilę widziałem jakieś odbłyски. Dopiero po pewnej chwili zorientowałem się, że są to liczne wodne zbiorniki retencyjne, usytuowane wzdłuż rzek i potoków, służące do nawadniania pól. Faktycznie bez sztucznego nawadniania, w suchym i gorącym klimacie Bułgarii, nie wiele by urosło. Zaś przy zbliżaniu się do morza, zwłaszcza przy schodzeniu samolotu do lądowania, zauważyłem wzdłuż wybrzeża morskiego niewielkie białe kopce, lśniące w zachodzącym słońcu szczególnie intensywnie. Potem, już z okien auto karu, który z Burgas zawiózł nas do Słonecznego Brzegu, zobaczyłem, że są to przyzmy białej soli, uspane obok płycizn morskich, odgradzonych groblami od pełnego morza. Po odparowaniu wody na dnie tych płycizn zostawała warstwa soli, którą mechanicznie bądź ręcznie zgarniano w duże przyzmy. Dziwiłem się takiej technologii produkcji soli, gdyż pierwszy lepszy deszcz mógł tę syzyfową robotę zamienić z powrotem na słoną morską wodę. Przestałem się dziwić, gdy dowiedziałem się, że przez całe lato nie spała na bułgarskim wybrzeżu ni kropelka deszczu.

Do Słonecznego Brzegu autokar dowiózł nas już o zmroku. Otrzymaliśmy dwa spore pokoje ze wspólnym węzłem sanitarnym. Grażyna zakwaterowała razem z Grzesiem i Maćkiem w jednym pokoju, ja z Kasią zajęliśmy drugi. Rankiem następnego dnia, po śniadaniu w restauracji, usytuowanej w oddzielnym piętrowym pawilonie, wybraliśmy się

na rekonesans po kurorcie. Ułatwiły nam to duże plakaty z mapą Słonecznego Brzegu. Podobnie jak poszczególne kąpieliska Mangalii, ośrodek zabudowany był prawie wyłącznie budynkami hotelowymi oraz służącymi ich obsłudze obiektami restauracyjnymi, handlowo-usługowymi itp. Posiadał też 3 duże samochodowe pola campingowe dla kilku tysięcy turystów. Dopiero później na obrzeżu odkryłem kilka trzypiętrowych bloków mieszkalnych, zamieszkałych przez tubylców. Część zatrudnionych w obsłudze ośrodka mieszkała też zapewne w różnych służbowych mieszkaniach

Grześ na rannym rekonesansie kurortu

i pokojach w samych hotelach, część dojeżdżała do pracy autobusami z najbliższych wsi i Burgas. Łącznie w ośrodku doliczyłem się 102 hotele, prócz tego dziesiątki różnych obiektów usługowych. Wszystko to, pachnące



W Centrum Sofii



świeżością, wybudowano w ostatnich kilkunastu latach. Kilka oddano do użytku w trakcie naszego pobytu wczasowego, w tym bardzo okazały, ekskluzywny 20-piętrowy hotel dla gości dolarowych.

Nawet nie wiem, czy Bułgarzy mieli jakieś swoje domy wypoczynkowe. Wszędzie słyszało się tylko obce języki, głównie niemiecki, rosyjski, angielski, francuski i polski. Poszczególne nacje miały swoje stałe hotele, w których z obsługą można było porozumieć się w języku gości hotelowych. Tak było też w naszym hotelu, gdzie swobodnie mogliśmy w recepcji porozmawiać, zasięgnąć informacji itp. po polsku. Tych polskich hoteli było cztery, czy pięć, położonych obok siebie i kierowanych tylko przez jednego kierownika. Przy odpowiedniej okazji otrzymał on w upominku od nas album ze zdjęciami Warszawy, jaki przywieźliśmy z kraju.

Oczywiście poszczególne hotele w Słonecznym Brzegu różniły się od siebie wystrojem architektonicznym, wykończeniem wnętrza, standardem obsługi. Kierując się tymi przesłankami można było z dużym prawdopodobieństwem odgadnąć jaką narodowość dany hotel obsługuje. Najelegantsze były przeznaczone dla gości anglojęzycznych, płacących dolarami i funtami. Nasze polskie w tym międzynarodowym towarzystwie należały raczej do pośledniejszej kategorii, podobnie jak polska złotówka.

Plaża oddalona była od naszego miejsca zakwaterowania o kilkaset metrów. Przebywaliśmy na niej tylko kilka razy w celu opalania się, wyraźnie mniej niż w Rumunii, korzystając z kąpieli w morzu. Po prostu w okresie naszego pobytu pojawiły się w wodzie przy brzegu duże ilości oślizgłych, galaretowatych meduz. Zetknięcie z nimi nie należało do przyjemnych, a dodatkowo mówiono o ich zagrożeniu dla zdrowia ludzi. Poza tym Grześ przez pewien czas w Słonecznym Brzegu nosił jeszcze swój opatrunek gipsowy na prawej ręce i nie mógł wchodzić do wody. Ten gips wyrzuciliśmy ostatecznie dopiero w połowie turnusu wczasowego. Nie bez znaczenia dla naszej frekwencji na plaży było też to, że "Turysta" zorganizował dla naszej grupy wiele atrakcyjnych imprez i wycieczek autokarowych.

Hotel dla „Anglików”

Był więc wyjazd na piknik do sąsiedniej wioski. Tam na stołach, ustawionych pod zadaszeniem, serwowano pikantne bułgarskie potrawy. Były też występy taneczne i muzyczne zespołu ludowego, między innymi także taniec na rozżarzonej żużli. Jedno popołudnie spędziliśmy na wzgórzu na skraju Słonecznego Brzegu w starej restauracji ze stolikami na tarasie, z którego oglądać można było panoramę całego kąpieliska. Obok był zabytkowy, ceglany wiatrak-młyn i stały szesnastowieczne armaty. Obsługiwali nas kelnerzy w regionalnych strojach bułgarskich, i przygrywała nam do biesiady kapela ludowa.

W trakcie półdniowej wycieczki zwiedziliśmy miejscowość Nesebar. Jest to miasto o tysiącletniej historii, kilka kilometrów od Słonecznego Brzegu, w całości zabudowane starymi, zabytkowymi domami mieszkalnymi i z ruinami licznych większych obiektów, w tym kilku kościołów i cerkwi. W VI wieku przed naszą erą była tu grecka kolonia i miasto odgrywało w tym czasie i później, w średniowieczu,



Przed groblą do Nesebaru

Przed groblą do Nesebaru

dużą rolę. Położone jest na małej przybrzeżnej wyspie, połączonej z lądem kilkusetmetrową groblą, zwieńczoną zsośą, podobnie jak to jest w Wenecji.

Można było tam sfotografować się z osiołkami oraz zakupić oryginalne upominki bułgarskie. My zdjęcia robiliśmy własnym aparatem, a kupiliśmy dla naszych chłopców marynarskie koszulki w poprzeczne pasy w kolorach czerwonym i granatowym, które potem bardzo chętnie nosili. A także kilka pamiątkowych drobiazgów: drewniane, malowane ozdoby, talerzyki, stylowe okręciaki z żaglami i figurkę pary bułgarskiej w strojach regionalnych. Przed wjazdem na groblę Nesebaru, w głębi plaży, sterczał duży drewniany żaglowiec-fregata z pełnym wyposażeniem w działa burtowe i z manekinami korsarzy. Można to było zwiedzać - raj dla dzieciaków. A we wnętrzu był urządzony oryginalny bar dla turystów.

Na cały dzień pojechaliśmy autokarem wzdłuż czarnomorskiego wybrzeża do Sozopola. Jest to miasteczko o starej zabudowie, typowej dla Turcji i w ogóle całego Bliżniego Wschodu. Charakteryzowały ją zdobne wykusze pięter, nadwieszane nad partiami budynków. Sozopol powstał jako najstarsza kolonia grecka nad Morzem Czarnym.

Po zwiedzeniu miasta pojechaliśmy dalej nad rzekę Ropotamo, prawie tuż przy granicy z Turcją. Znajdował się tam leśny park narodowy, utrzymany w dziewiczym stanie. Jechaliśmy po rzece łodziami pod płataniną konarów egzotycznych drzew i wśród wielkich nenufarów. Duże wrażenie sprawiały gromady żółwi, siedzące na pniach pochylonych tuż nad wodą. Żółwie siedziały tak, że ogonki miały zanurzone w rzece. Przewodnik wytłumaczył nam, iż w ten sposób regulują one temperaturę swego ciała, chroniąc się przed nadmiernym gorącem.



W porcie Burgas

W porcie Burgas, gdzie zwiedziliśmy starą część miasta i port morski. Obyliśmy tam przejażdżkę w głąb morza na dużym statku pasażerskim. Później, jeszcze raz, już na własną rękę, pojechaliśmy kursowym autobusem do Burgas, żeby zakupić jakieś drobiazgi. Objadaliśmy się wtedy bajecznie tanimi winogronami. Bodaj kilogram tych smakowitych owoców kosztował na jarmarku tylko 5 stotinek.

Na tymże jarmarku znalazłem też odpowiedź, na nurtujące mnie pytanie, dlaczego część uczestników naszej polskiej grupy wycieczkowej nie wzięła udziału w turystycznych wycieczkach do Nesebaru i Sozopola. Zobaczyliśmy mianowicie tych ludzi na jarmarku, obnoszących na rękę texasy i inne towary przeznaczone na sprzedaż. Przyjechali więc oni do Bułgarii nie w celach turystycznych, czy dla wypoczynku na czarnomorskiej plaży, lecz w celach handlowych. By sprzedać jakieś towary przywiezione z Polski i kupić inne, cieszące się dużym popytem w kraju. Piszę "jakieś", bo nie miałem zielonego pojęcia, czym się handlowało. Nie miałem też ochoty, ani zresztą niezbędnych umiejętności, by włączyć się do tego procederu handlu turystycznego, faktycznie bardzo rozpowszechnionego w latach siedemdziesiątych.

Tym procederem handlarskim można też chyba wytłumaczyć fakt, że w składzie wycieczki znalazło się kilka osób, mówiąc oględnie, bardo niesympatycznych. Przykład mieliśmy w jednej z restauracji, podczas oczekiwania na kolację. Podawanie posiłków przez obsługę kelnerską było dość niemrawe i stało się przyczyną, a właściwie pretekstem, do "obrugania" przez jednego z uczestników wycieczki młodego kelnera bułgarskiego. Wielki Polak dał upust swej pogardy dla małego Bułgara, obrzucając go wiązaną obelżywymi i nieprzyzwoitymi słowami oraz pouczając z kim ma do czynienia. Kelner

niewątpliwie języka polskiego nie znał, ale mógłby nasz sarmata hamować się w swym chamskim zachowaniu wobec pozostałych uczestników polskiej wycieczki. On jednak zapewne uważał, że spełnia swój chwalebny czyn patriotyczny. Ot, taka pospolita mieszkanka megalomanii narodowej, rasizmu, krótkiego rozumu i zwykłego chamstwa.

Przy okazji wycieczki autokarowej do Ropotamo rozszyfrowałem tajemnicę świeżych pomidorów, brzoskwiń i winogron bułgarskich, znajdujących się każdego ranka na targowiskach oraz w kioskach warzywnych Krakowa. Jadąc autokarem, mijaliśmy wielkie, niekończące się plantacje tych owoców, słoneczników i tytoniu, ciągnących się wzdłuż całego wybrzeża bułgarskiego. Na nich tu i ówdzie grupy ludzi, zwykle młodzieży, zrywały do niewielkich koszy pomidory względnie winogrona. Zbieracze co pewien czas podchodzili z nimi do szosy, gdzie na poboczu, obok wielkich samochodowych przyczep, stały sterty płaskich drewnianych skrzynek z napisami "Bulgaria". Tam owoce były przekładane do skrzynek, a te ładowane do wnętrza kontenerów. Domyśliłem się już tylko, że po kilku godzinach, gdy naczepy były załadowane, to podjeżdżały ciągniki samochodowe, zabierały je i jechały wprost do Krakowa, Warszawy, Pragi, Berlina itd. Wczesnym świtem, były one już na miejscu i za parę godzin skrzynki ze świeżymi owocami, bez jakiegokolwiek wtórnego przeładowywania, a także bez pośrednictwa chłodni, dojrzewalni czy konserwantów, znajdowały się na stoiskach sprzedażnych.

W dniu 27 sierpnia, skoro świt, w hotelu odbyło się wzajemne budzenie całej naszej grupy wycieczkowej. Wszyscy byliśmy już spakowani od wieczoru, załadowaliśmy się więc szybko do autokaru, który przewiózł nas na lotnisko w Burgas. Stamtąd za niewiele minut mieliśmy samolotem polecieć do Sofii. Te minuty zamieniły się jednakże w pięć czy sześć godzin, gdyż nad czarnomorskim wybrzeżem Bułgarii odbywały się akurat manewry lotnicze państw Układu Warszawskiego i wszelki cywilny ruch powietrzny został wstrzymany. Za to później w Sofii przesiadaliśmy się na samolot Tu-154 PLL "LOT" z wielkim pośpiechem i tylko "jedną" godzinę trwał jego lot do Warszawy. Oczywiście lecieliśmy pełne dwie godziny, a zysk jednej godziny wynikał jedynie z różnicy pomiaru czasu w Polsce i Bułgarii, jaki wtedy miał miejsce.

Inny świat, inne sprawy. Skończył się piękny i beztrioski urlop, wracała proza dnia codziennego, ale akumulatory naładowaliśmy skutecznie. Do Krakowa dotarliśmy pociągiem po 14 godzinach od momentu wyjazdu ze Słonecznego Brzegu. Grażyna z Warszawy pojechała wprost do Wrocławia.

W mieszkaniu czekała na nas stęskniona i nieszczęśliwa nasza kotka Czika, trzeba było rozpakować bagaże, Kasia zrobiła zakupy żywnościowe i pranie, ja porządku domowe, korespondencja, gazety. Od poniedziałku w biurze ostry start do pracy po sezonie urlopowym, większość pracowników PW-2 już swe urlopy wykorzystała, należało uruchomić nowe tematy projektowe, załatwiać zaległą korespondencję itd. Wieczorem zadzwoniłem do siostry we Wrocławiu z zapytaniem, jak udały się wczasy nad Bałtykiem, czy Grażyna podzieliła się już swymi wrażeniami z wycieczki do Bułgarii itp. Usłyszałem w odpowiedzi, że nasza mamusia nie żyje!

Kilka dni po wyjeździe cioci Neli z naszymi chłopcami do Krakowa, mama, źle się czując, poszła do lekarza. Stwierdził bardzo wysokie ciśnienie tętnicze i przepisał odpowiedni lek węgierski na jego obniżenie. Mama zażywała go i faktycznie czuła się jakby lepiej. W każdym bądź razie wszystko w domu i swym gospodarstwie robiła. Gdy odwiedziła ją na dwa dni Halina, to umówiły się na ponowny jej przyjazd w niedzielę 29 sierpnia. Przy czym przyjechać też miała Grażynka, by opowiedzieć o swych wrażeniach w Bułgarii.

Jednakże 22 sierpnia po południu mama zaczęła odczuwać silne bóle w klatce piersiowej i drętwienie lewej ręki. Udała się po radę do Jadzi, swej przyjaciółki, sąsiadki

z naprzeciwka. Oczywiście był to już początek stanu zawałowego i należało zawezwać karetkę pogotowia lekarskiego. Nie mając telefonu domowego, może dlatego też, że była to niedziela, wieczór, ale chyba przede wszystkim z braku własnej, właściwej diagnozy choroby, obie kobiety nie zrobiły tego. Pani Jadzia doradziła, by mama położyła się spać to, po odpoczynku, dolegliwości powinny minąć. Przeszły wobec tego przez ulicę do domu rodziców i umówiły się, że gdyby nastąpiły ponowne bóle, to mama zaświeci lampką w oknie, wtedy Jadzia natychmiast przyjdzie. Mama poszła więc do drugiego pokoju po lampkę, a za chwilę, wracając z nią w rękę, przewróciła się na wznak. I to był już koniec.

Za niewiele minut byli sąsiadki, przyjechał lekarz pogotowia, który stwierdził zgon, zawiadomiona została telefonicznie Halina we Wrocławiu. Przyjechała też ona niezwłocznie taksówką w środku nocy do Kępna. Na drugi dzień załatwiała wszelkie urzędowe formalności, związane z pogrzebem. Miała też zamiar powiadomić mnie w Bułgarii o śmierci mamy po przez radio, nie znając dokładniejszego adresu. Nie zrobiła tego, oceniając, że i tak nie zdążyłbym przyjechać na pogrzeb.

Pogrzeb mamusi był znacznie skromniejszy od pogrzebu ojca. Dość licznie przybyli krewni ojca z Ostrzeszowa, Kuźnicy i Bobrownik, brat mamy Henryk z rodziną, najbliżsi sąsiedzi i znajomi. Po ceremonii pogrzebowej dla członków rodziny odbyła się w domu rodzinnym skromna stypa. Ja o tym wszystkim dowiedziałem się w szczegółach dopiero w pierwszych dniach września po otrzymaniu listu od siostry. Wkrótce, wraz z Maćkiem, pojechalśmy ze swym wieńcem żałobnym na grób mej mamy, a jego babci, do Kępna. W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się na jeden dzień we Wrocławiu. Ponieważ była piękna pogoda, więc zwiedziliśmy tereny wokół Hali Ludowej, w szczególności Park Szczytnicki, zaś w nim Ogród Japoński, pięknie wówczas odrestaurowany.



Przy grobowcu rodziców w Kępnie

Ponownie na grób rodziców udaliśmy się całą rodziną w okresie Świąt Bożego Narodzenia. Obchodziliśmy te święta we Wrocławiu u mej siostry. Była też wówczas ciocia Nela. Również wtedy zwiedziliśmy tereny wokół Hali Ludowej, a głównie wrocławski Ogród Zoologiczny przy moście Zwierzynieckim. W jednym dniu udaliśmy się wszyscy kursowym autobusem do Kępna na grób rodziców. Grobowiec nie był jeszcze urządzony, lecz grób ziemny był starannie utwardzony i ukwiecony. Była wówczas z nami pani Jadzia, która właśnie zajmowała się pielęgnacją grobu rodziców.



Przed Halą Ludową we Wrocławiu

W drugiej połowie 1971 r. PW-2 wykonywała szereg nowych tematów, z których najpoważniejszym były kolejne dwa XII-kondygnacyjne budynki biurowe przy ul. Mogilskiej w Krakowie. Opracowywał je A. Ścigalski, przy czym później zrealizowany został tylko jeden z nich. Projekt drugiego, przeznaczonego dla Biura Projektów Przemysłu Węglowego został wykonany tylko w fazie wstępnej, gdyż inwestor zrezygnował osta-

tecnie z realizacji obiektu, głównie z powodu trudności w uzyskaniu terenu.

Ja sam w IV kwartale 1971 r. opracowałem projekt adaptacyjny dla pawilonu handlowego na nowym osiedlu nowohuckim Mistrzejowice-Wiosenne. Był to pierwszy z serii kilku gotowych, prefabrykowanych pawilonów handlowych, jakie zakupione zostały w NRD dla Krakowa. Miały one różną wielkość i funkcję, a ten pierwszy był to parterowy supermarket spożywczy o wymiarach rzutu 24*24 metry i kubaturze 3000 m³. Adaptacja polegała na wykonaniu projektu zagospodarowania przestrzennego terenu inwestycji, posadowienia budynku, podłączeń instalacyjnych, drogi dojazdowej z placem wyładowniczym, zieleni na działce itd. Sam budynek składany był z gotowych, wielkogabarytowych elementów z ocieplanej blachy aluminiowej. Dostarczano je w specjalnych kontenerach trakcją kolejową i samochodową z Lipska, gdzie znajdował się główny zakład produkcyjny i następowała kompletacja dostaw.

Od 1 września mieliśmy w biurze nowego dyrektora naczelnego J. Skowyrę. Wszystkim pracownikom był doskonale znany, gdyż pracował w biurze już kilkanaście lat, awansując kolejno na coraz bardziej odpowiedzialne stanowiska.

Pod koniec miesiąca zawezwany zostałem na nadzór autorski na budowę Domu Wypoczynkowego "Energetyk" w Krynicy. Wcześniej byłem wzywany tylko raz na tę budowę, w trakcie wykonywania tak zwanego "stanu surowego". Chodziło wtedy o dodatkowe zabezpieczenia wykopów ziemnych przed osunięciem się i murów piwnicznych przed napływem wód opadowych. Tym razem budynek był już wykonany w stanie surowym zamkniętym i inwestor, wraz z głównym wykonawcą robót, chcieli uzgodnić ze mną rodzaj i kolorystykę materiałów wykończeniowych. Dotyczyło to drewnianych boazerii ściennych, posadzek mozaikowych i marmurowych, kolorystyki ścian itp.

DW „Energetyk”

Po tej "oficjalnej" części spotkania kierownik budowy i ja zostaliśmy zaproszeni przez inwestora na nieoficjalny obiad do regionalnej karczmy pod Krynica. Znana ona była szeroko lokalnym konieserom dobrego jada, zwłaszcza ze swej specjalizacji w serwowaniu białych mięs. Po przyciężkim żurku, pieczeni z połówki indyka i płonącym deserze owocowym - bardzo na miejscu była wysokoprocentowa herbata zbójnicka. Nie pił jej chyba tylko kierowca samochodu, choć wcale nie jestem tego taki pewny.



W Muzeum Powozów w Łańcutie
oglądania licznych krajowych i zagranicznych modeli telewizorów w dużym, nowo

W październiku Kasia wraz z chłopcami wzięła udział w kilkudniowej wycieczce-rajdzie szlakiem miejsc martyrologii z okresu II wojny światowej i powojennych walk z ukraińskimi nacjonalistami na południu Polski. Odwiedzili miejsca pomników w rejonie Bieszczad, zwiedzili Rzeszów, barokowy Zamek z XVII wieku w Łańcutie z unikalnym Muzeum Powozów i inne.

W grudniu postanowiliśmy kupić nowy telewizor do mieszkania. Stary "Szmaragd" był już do cna wyeksploatowany, szwankowała w nim i fonia i wizja. Zabrałem na rekonesans po sklepach obu swych synków i zaczęliśmy od

otwartym salonie TV przy ul. Kijowskiej. Wszystkie oczywiście były czarno-białe, różnej wielkości i w różnych obudowach. Zamierzałem już pertraktować z obsługą sklepu, ale obaj chłopcy gdzieś mi się zapodziali w bocznej salce, a właściwie na zapleczu sklepowym. Tam akurat uruchamiano próbnie jeden kolorowy telewizor z bieżącej dostawy. Był to radziecki "Rubin", pochodzący z partii pierwszych 10 tysięcy sztuk kolorowych telewizorów, importowanych świeżo z okazji odbywającego się w Warszawie ogólnopolskiego Zjazdu PZPR, obradującego zresztą pod hasłem "Oby Polska rosła w siłę, a ludziom żyło się dostatniej!".

Wołałem synów do głównego salonu, by dokonać wspólnie wyboru jakiegoś telewizora, ale oni nie chcieli nawet patrzeć na czarno-białe ekrany i nie dawali się odciągnąć od kolorowej nowaliki. Zapytałem więc o jej cenę i zmroziło mnie, gdyż mógłbym za tę kwotę kupić trzy 17-calowe "Neptuny" lub dwa 21-calowe "Beryle". Nie miałem oczywiście tyle pieniędzy przy sobie, ale nie miałem także żadnego wyboru. Pojechałem więc do "swego" banku PKO w Rynku Głównym, pobrałem brakujące pieniądze i zapłaciłem za nowe cudo i niezbędne akcesoria, które wkrótce zostało przewiezione, wraz z tryumfującymi synami, firmowym samochodem i zainstalowane w moim mieszkaniu. Technicy sklepowi zamontowali też nowy wielgachny maszt antenowy na dachu i połączyli go fachowo koncentrycznym kablem z telewizorem.

Gdy Kasia wróciła z pracy, nowy mebel mrugał już wszystkimi kolorami tęczy. Być może był to w ogóle pierwszy odbiornik TV-kolorowej w prywatnym mieszkaniu w Krakowie. A ważyło to pudło 65 kilogramów i w środku miało 15 lamp elektronowych i bodaj tyleż samo tranzystorów. Niestety przez dłuższy czas, właściwie przez lata całe, TVP nadawała bardzo mało programów w kolorze, początkowo tylko w czwartki, i na ekranie naszego "Rubina" oglądaliśmy świat nadal głównie w czarno-białej tonacji.

Rok 1971 był kolejnym rokiem znaczących osiągnięć w dziedzinie podboju Kosmosu i nowych technologii przemysłowych. USA dokonały dalszych dwóch lądowań na Księżycu swych statków załogowych "Apollo 14" w styczniu i "Apollo 15" w lipcu. Tak więc już ośmiu kosmonautów amerykańskich miało możliwość przespacerowania się po Księżycu, a dwóch to nawet jeździło po Srebrnym Globie przez kilkanaście godzin specjalnym samochodem o napędzie elektrycznym. Natomiast ZSRR wystrzelił na orbitę wokółziemską dużą stację załogową "Salut 1", jako stałe laboratorium kosmiczne. W dziedzinie nowych technologii wynalezione zostały mikroprocesory, które stały się potem podstawą nowych generacji urządzeń elektronicznych, głównie komputerów. Między innymi, już w 1971 r. uruchomiona została w USA seryjna produkcja kieszonkowych kalkulatorów elektronicznych.

Najpoważniejszym wydarzeniem politycznym 1971 r. była niewątpliwie secesja pakistańskiej prowincji Bangladeszu, co stało się wnet powodem wojny pomiędzy Pakistanem i Indiami. W Polsce na początku roku nastąpiła zasadnicza zmiana ekipy rządzącej, sformowana wokół E. Gierka. Wraz z nią zmieniła się też polityka społeczno-gospodarcza kraju. Przyspieszone zostały inwestycje w przemyśle, produkującym towary powszechnego użytku, często przy korzystaniu z zagranicznych technologii; znacznie rozszerzony został import wielu towarów żywnościowych i przemysłowych; zwiększone zostały nakłady na budownictwo mieszkaniowe. W lutym 1972 odbyły się Zimowe Igrzyska Olimpijskie w Sapporo w Japonii. Polska miała w nich swoje "5 minut", gdy 19-letni Wojciech Fortuna zwyciężył w konkursie skoków na wielkiej skoczni swych światowych rywali i uzyskał złoty medal dla polskiej ekipy.

Jak dotąd prawie wszystkie roczne urlopy dzieliłem na dwa po dwa tygodnie. Wykorzystywałem je najczęściej na rodzinne wczasy zimowe i letnie. Często te nasze wyjazdy zimowe przypadały na kwiecień, obejmując święta Wielkanocne. Wtedy w Krakowie, i w ogóle na nizinach, zimy już nie było, natomiast w Karkonoszach czy w Tatrach,

gdzie najczęściej te wczasy spędzaliśmy, było jeszcze sporo śniegu, zwłaszcza w wyższych partiach gór. W 1972 r. również dwukrotnie wyjeżdżaliśmy na wczasy, lecz jedynie w okresie lata, w lipcu do Zakopanego, zaś w sierpniu do Świnoujścia nad Bałtykiem. Dodatkowo nasi chłopcy byli na 10-dniowej wycieczce turystycznej we Francji.

Natomiast odmiennie niż zazwyczaj, święta Wielkanocne spędziliśmy w Krakowie, jak najbardziej rodzinnie. Na kilka dni przyjechała do nas cała rodzina mej siostry z Wrocławia, również ciocia Nela, a także Maciek z Wrocławia, syn brata mego szwagra.



Na nowych bulwarach Wisły pod Wawelem

jego oficjalne oddanie do użytku odbyło się później w przeddzień lipcowego Święta Odrodzenia. Ten piękny żelbetonowy most zaprojektowany został pod względem architektonicznym w moim biurze projektowym przez młodego architekta J. Chronowskiego i wykonany z zastosowaniem strunobetonowych belek. W wyniku publicznego plebiscytu, przeprowadzonego w Krakowie, nazwany on został później Grunwaldzkim. Nie obyło się oczywiście bez zwiedzania Wawelu, spaceru ulicami Kanoniczą i Grodzką oraz "popasu" na Rynku Głównym. Po świętach Wrocławia wyjechali, wracając do swych zajęć i nauki. Została tylko jeszcze nasza emerytowana ciocia Nela, ale po kilku dniach również i ona odjechała do Próchenek, swego miejsca zamieszkania.

W ostatnim dniu roku szkolnego obaj chłopcy chwalili się swymi świadectwami szkolnymi. Maciek ukończył już piątą klasę, miał tylko dwa stopnie dobre z podrzędnych przedmiotów, pozostałe bardzo dobre. Z takim też stopniem ukończył kurs języka francuskiego I stopnia w Krakowskim Domu Kultury w "Pałacu Pod Baranami". Grześ na swym świadectwie z trzeciej klasy podstawowej miał też głównie stopnie bardzo dobre i kilka dobrych.



Zbiórka na wylot do Francji

Z inicjatywy i staraniem Kasi nasi chłopcy w czerwcu 1972 roku, tuż po zakończeniu roku szkolnego pojechali na wycieczkę do Francji. Zaczęło się od tego, że żona w swej pracy zawodowej miała kontakty z Komendą Chorągwi Związku Harcerstwa Polskiego w Krakowie. Przy okazji dowiedziała się, że krakowski ZHP organizuje latem 10-dniową wycieczkę turystyczno-krajoznawczą dla harcerzy krakowskich do Francji. Organizatorem faktycznym wycieczki był francuski Związek Harcerstwa, przy założeniu, że w przyszłym roku ZHP przyjmie w Krakowie grupę eklerów francuskich. Mieli oni korzystać wzajemnie ze schronisk harcerskich i prywatnych kwater rodzinnych.

Synowie mieli już swoje harcerskie lata, Maciek 12,

Grześ 9 lat, więc Kasia szybko zapisała obu do organizacji oraz kupiła im mundurki, plecaki i inny harcerski ekwipunek. W dniu zbiórki, bardzo wczesnym rankiem, chłopcy nasi stawili się na punkcie zbornym na Rynku Kleparskim. Cała grupa wycieczkowa liczyła około 40 dziewcząt i chłopców w wieku kilkunastu lat oraz kilku starszych harcmistrzów, wszyscy w paradnych mundurach i z wielkimi plecakami. Autokar powiózł ich na lotnisko w Balicach i po dwóch godzinach lotu odrzutowym Tu-134 cała grupa znalazła się w Paryżu.

Program przewidywał kilkudniowe zwiedzanie stolicy Francji i zamków nad Loarą, przy czym kwaterowali wtedy w kolejnych schroniskach eklerów francuskich. Jednak zasadniczą część wycieczki stanowił tygodniowy pobyt grupy w dużym 200-tysięcznym mieście Dijon w Burgundii w środkowo-wschodniej Francji. Zamieszkali tam na kwaterach w rodzinach francuskich. Przez władze miasta Dijon przyjęci zostali z wielką atencją, a lokalne gazety zamieściły na pierwszych stronach kwieciste reportaże ze zdjęciami z apelu i powitania polskich harcerzy przez mera miasta na wielkim dziedzińcu jego merostwa.

Niezależnie od wielu wrażeń, jakie przeżyli obaj nasi chłopcy na tej czwartej już wycieczce zagranicznej, ale pierwszej do zachodniej Europy, wykorzystali ją oni do praktycznego zapoznania języka francuskiego. Mieli ze sobą oczywiście słownik francusko-polski, no i Maciek dwuletni, a Grześ roczny kurs francuskiego. Grześ dodatkowo zaprzyjaźnił się wielce z rodziną, u której przebywał, w tym chyba najbardziej z, jeszcze młodszą od siebie, córeczką gospodarza. Konsekwencją tego był późniejszy, po kilku latach, wyjazd Grzegorza do tegoż Dijon, potem także do Lionu i Paryża, w którym zresztą zakotwiczył w późnych latach 80-tych na stałe

Synowie wrócili ze swej wielkiej zagranicznej przygody już po 10 dniach. Pojechaliśmy wówczas, w drugiej połowie lipca, wszyscy razem w czwórkę, na normalne, rodzinne wczasy zakładowe do Zakopanego. Znow dominowały wycieczki po dolinkach i spacery po samym Zakopanem. Równolegle w stolicy Tatr przebywali nasi przyjaciele Tadek i Wanda Brachowscy ze swymi dwoma córeczkami. Było zresztą więcej dzieci i młodzieży w domu wczasowym i bawili się oni piłką, grali zwykle w kometkę i tenisa ziemnego.

Po powrocie z wczasów czekała na mnie w biurze niespodzianka. Był nią złoty krzyż zasługi, przyznany uchwałą Rady Państwa za całokształt pracy zawodowej, na wniosek zgłoszony przez moje biuro wiele miesięcy wcześniej. Było to najwyższe rangą odznaczenie, jakie w ogóle otrzymałem, ale dopiero trzecie, co do swej wagi, według mego osobistego uznania. Bardziej ceniłem, otrzymane znacznie wcześniej odznaki "Racjonalizatora Produkcji" i "Budowniczego Nowej Huty".

A Kasia, korzystając z utrzymującej się ładnej pogody, umówiła się z Wandą na niedzielną przejażdżkę statkiem wycieczkowym z pod Wawelu do Tyńca, odległego o 15 kilometrów. Zabrała obu synków, Wanda swe dwie córki i w rezultacie, przy pięknej pogodzie, bardzo miło spędzili wszyscy cały dzień na statku oraz zwiedzili dodatkowo stare, bardzo ciekawe opactwo bernardynów w Tyńcu, kościół i klasztor, pochodzące z XI wieku.

Również w 1972 roku skorzystaliśmy z oferty "Turysty". W dniu 15 sierpnia pojechaliśmy na drugie w tym roku dwutygodniowe wczasy rodzinne do Świnoujścia nad polskim Bałtykiem. Z Krakowa, ściślej z podkrakowskiego lotniska w Balicach, poleciliśmy do Szczecina, a właściwie do Goleniowa, samolotem. Trasę przelotu pokonaliśmy w niespełna dwie godziny na pokładzie turbośmigłowego Il-28, takiego samego, jakim lecieliśmy rok wcześniej w Bułgarii z Sofii do Burgas. Z Goleniowa do Świnoujścia dojechaliśmy już kursowym autobusem.



W porcie szczecińskim

wych, kilkadziesiąt samochodów i setki ludzi. Wyspę Wolin łączą z krajem już normalne mosty.

Zakwaterowaliśmy w niedużym, położonym w sosnowo-świerkowym lesie, domu wypoczynkowym na zachodnim skraju dzielnicy wypoczynkowo-zdrojowej. Do plaży mieliśmy dosyć daleko, bo około 500 metrów, dalej niż do państwowej granicy z Niemiecką Republiką Demokratyczną.

Polski Bałtyk różnił się znacznie od Morza Czarnego, przede wszystkim temperaturami wody i powietrza i w ogóle pogodą. Przynajmniej w czasie naszego pobytu słońca było nie wiele więcej od chmur. Były dni, że musieliśmy na plaży korzystać z wielkich dwuosobowych, wiklinowych koszy, które chroniły nas przed podmuchami wiatru. Trzeba było też samopoświęcenia się, żeby wejść do zimnej wody. Naszych chłopców to specjalnie nie odstraszało i pluskali się oni w morzu, jak dwie małe foki.

Plażowaliśmy głównie po niemieckiej stronie wyspy Uznam w przygranicznym kąpielisku Ahlbeck. Było to możliwe, gdyż od stycznia obowiązywała umowa między Polską i NRD o przygranicznym ruchu turystycznym, która pozwalała na przejście granicy jedynie za okazaniem dowodu osobistego. Praktycznie wyglądało to tak, że dwa szeregi ludzi przechodziły w przeciwnych kierunkach, bez zatrzymywania się, trzymając w rękach otwarte dowody osobiste, na które celnicy nie zwracali bynajmniej specjalnej uwagi. Interesowały ich jedynie większe bagaże. My mieliśmy tylko koce, materac dmuchany, ręczniki, piłkę, a Grzesiek dodatkowo plastikowy samolocik.

Ten samolocik, kupiony w Świnoujściu, zrobił zresztą furorę na niemieckiej plaży. Mianowicie był on bardzo zmyślnie skonstruowany, latał na linie jak latawiec, przy czym obracały się oba skrzydełka, wydając charakterystyczny warkot. Wciąż podchodzili do syna młodzi i starsi plażowicze i pytali skąd ma ten samolocik. Oczywiście Grześ nie rozumiał ani słówka po niemiecku i pokazywał palcem na mnie. Musiałem ciekawskim tłumaczyć, gdzie w Świnoujściu mogą te zabawki nabyć.

Pobyt na plaży w Ahlbeck miał jeszcze te zalety, że można tam było kupić smaczne i tanie lody. Raz, gdy było pochmurnie, pojechaliśmy autobusem na drugi kraniec wyspy do najbliższego miasta Wolgast. Było to stare, bardzo zadbane, miasteczko o charakterystycznej pruskiej, północno niemieckiej architekturze. Akurat trafiliśmy na obchody jakiegoś święta, gdyż głównymi ulicami, przy dźwiękach orkiestry dętej, paradowały grupy młodzieży w granatowych i czerwonych uniformach.

Wzięliśmy też udział we wszystkich wycieczkach, organizowanych przez instruktora k.o. naszego domu wypoczynkowego. Zwiedziliśmy więc sąsiednie znane kąpielisko Międzyzdroje na wyspie Wolin, największe Polsce Zakłady Rybne "Odra" w Świnoujściu, oraz stolicę województwa Szczecin. W zakładach rybnych oglądaliśmy statki łowcze, hale produkcyjne i wielkie, mroźne chłodnie, w jakich podziwiać można było prze-

różne egzotyczne ryby i stwory morskie.



Grześ przed wodorolotem „Kometa-1”

budowane place świadczyły o tym, że Szczecin poważnie ucierpiał w wyniku II wojny światowej, chyba głównie na skutek bombardowań lotniczych. Zwróciło moją uwagę, że w Szczecinie jest bardzo dużo terenów wodnych i zieleni.

Do Szczecina, odległego o około 60 kilometrów w linii prostej, można jechać ze Świnoujścia okrężną, dłuższą trasą koleją lub autobusem, albo wprost statkiem przez Zalew Szczeciński i Jezioro Dąbie. My pojechalśmy dużym, nowiutkim wodorolotem "Kometa-1", szymbującym nad wodą z szybkością bodaj 70 km na godzinę. Zaczumowaliśmy przy Wałach Chrobrego, skąd było blisko do Starego Miasta, będącego głównym celem naszej wycieczki. Zwiedziliśmy Zamek Książąt Pomorskich, Ratusz, Bramę Hołdu Pruskiego i wiele okolicznych ulic. Dużo nowych budynków i liczne niezabudowane place świadczyły o tym, że Szczecin poważnie ucierpiał w wyniku II wojny światowej, chyba głównie na skutek bombardowań lotniczych. Zwróciło moją uwagę, że w Szczecinie jest bardzo dużo terenów wodnych i zieleni.

Od 26 sierpnia do 11 września 1972 r. odbyły się w Monachium Letnie Igrzyska Olimpijskie. Zostały one zakłócone 5 września przez polityczno-terrorystyczną akcję grupy komandosów palestyńskich, którzy zabili dwóch i wzięli na zakładników 9 zawodników izraelskich. Ich wypuszczenie na wolność warunkowali zwolnieniem 250 palestyńskich więźniów w Izraelu. W sytuacji odmowy spełnienia tego warunku, podczas próby odbicia zakładników, został wysadzony w powietrze helikopter, w którym wszyscy oni zginęli wraz z pięcioma terrorystami palestyńskimi. Igrzyska mimo to kontynuowano. Polska ekipa sportowa spisała się bardzo dobrze, uzyskując 21 medali, w tym 7 złotych. Wielką sensacją był zwłaszcza złoty medal polskiego zespołu piłkarskiego.

W jedną z wrześniowych niedziel namówiłem Kasię i chłopców na jednodniowy wyjazd do Jordanowa na Podhalu w Beskidzie Makowskim. Chciałem po 28 latach zobaczyć, jak wyglądają te "kąty", gdzie przebywałem z mamą i siostrą przez prawie 11 miesięcy w 1944/45 r. do dnia przepędzenia Niemców z Podhala. Niestety, po garbarni, w której zamieszkivaliśmy, zostały tylko resztki fundamentów, a cały teren obok uległ przeobrażeniu, gdyż pobudowano tam nową szosę obwodnicową. Tylko Rynek miasteczka niewiele się zmienił i wypiękniał, bo przybyło na nim kwiatnych rabatów.

Pewnego wrześniowego dnia, gdy normalnie urzędowałem w swym pokoju kierownika pracowni, zgłosił się do mnie jeden z tłumaczy, których zatrudniłem do pracy przy eksportowym projekcie miasta Mishraq w Iraku. Minął już przeszło rok od dnia wyeksponowania tej dokumentacji i zdumiałem się niepomniernie, gdy przybyły pan oświadczył, że nie otrzymał dotąd wynagrodzenia za wykonane przez niego prace tłumaczeniowe. Natychmiast udałem się z nim do głównego księgowego, który potwierdził według posiadanych dokumentów, że pan X faktycznie nie podjął swego wynagrodzenia. Teraz tłumaczył, iż dlatego, że według niego było zbyt niskie. Nie zgłosił się jednakże wówczas do mnie, ani w innej formie nie sprecyzował o co mu chodzi.

Dopiero po roku zdecydował się dochodzić swych pretensji i złożył odpowiedni pozew w sądzie. Faktycznie za kilka dni biuro otrzymało ten pozew z Sądu Powiatowego w Krakowie. Wyjaśniło się, że pan X bardzo ciężko pracował przy swych tłumaczonych tekstach, gdyż pełno w nich było określeń technicznych i że powinien być wynagrodzony wg wyższej stawki niż pozostali tłumacze, którzy zresztą tłumaczyli podobne teksty. Ale najważniejsze było to, że te tłumaczenia tak go angażowały, iż nie miał on czasu na

przeprowadzenie zamierzonego remontu swego samochodu i w związku z tym sprzedał go za bardzo niską cenę. W pozwie wyliczał stratę finansową, jaką przy tej transakcji poniósł, żądając jej pokrycia przez biuro itp.

Na takie roszczenia płacowe obowiązywała jednakże prekluzja w rok po zaistnieniu faktu, więc pozew rozpoczął się inwokacją o tym, że w biurze panuje wielki bałagan i prowadzone są jakieś przestępcze machinacje. Sąd przerażony grozą zarzutów, uwzględnił ochoczo przeterminowany pozew, chodziło wszak o sprawy wagi państwowej i gwałcenie praw obywatelskich. Zaczął się więc długoletni proces typu "pyskówki". W większości posiedzenia sądu były odraczane z uwagi na niestawienie się powoda, gdy zaś się zjawiał, to po przez swego adwokata zgłaszał nowe okoliczności sprawy i nowe roszczenia, które sobie w międzyczasie przypominał.

Ja na wszystkich rozprawach sądowych występowałem jednoosobowo, nie podpierałem się nawet biurowym radcą prawnym. Składałem cierpliwie wyczerpujące, konkretne pisemne i ustne wyjaśnienia, chociaż niełatwo było mi udowodnić bezzasadności różnych insynuacji. Oczywiście powód nie musiał niczego udowadniać, wystarczyło że przedstawiał siebie jako biedną ofiarę niecných knowań biurowej szajki. W tym wszystkim zadziwiająco dla mnie, i nie małym doświadczeniem życiowym, było stanowisko pani sędziny. Sądzę, że do jego zrozumienia potrzebny byłby dobry psycholog, podobnie jak psychiatra do zrozumienia powoda.

Proces ciągnął się jak flaki z olejem, przeniósł się do Sądu Wojewódzkiego, potem wrócił do ponownego rozpatrzenia do Sądu Powiatowego, przy zmianie sędziny. Nowa straciła wreszcie swą cierpliwość po rozsupłaniu kolejnego roszczenia pieniacza. Mianowicie stwierdził on na kolejnym posiedzeniu, że tłumaczył dużo więcej tematów, niż wykazałem przy obliczaniu wynagrodzenia. Przyciśnięty, wydukał nawet nazwy tych dodatkowych obiektów. I oto na następne posiedzenie przyniosłem wszystkie rękopisy tłumaczeń, jakie na szczęście nie wyrzuciłem, jako nikomu już nie potrzebne. Te dalsze, niby jego tłumaczenia, były pisane wyraźnie innym charakterem pisma. Po konfrontacji, gdy zmuszony został do przyznania, że to nie są jego tłumaczenia, pani sędzina zderwowała się mocno i po prostu nakrzyczała na cwaniaczka.

Ostatecznie po pewnym czasie wpłynął do biura werdykt sądu, oddalający po kolei wyimaginowane roszczenia, ale zasądzający jednakże jakąś małą kwotę od biura na rzecz sfrustrowanego tłumacza. Poszedłem z tym do dyrektora z propozycją przygotowania odwołania od tej decyzji, że pieniaczowi nic się dodatkowo nie należy i że gdyby istniała faktyczna sprawiedliwość, to powinien on przede wszystkim ponieść koszty, na jakie naraził nas i sąd swymi zmyślonymi roszczeniami. Dyrektor jednak sprawę przeciął, wyjaśnił mi, że obiektywnej sprawiedliwości nie ma na tym świecie, że sędzina musiała coś dać na odczepnego tej ofierze losu, że on się procesuje zawodowo non stop ze wszystkimi swymi pracodawcami, jak również z byłą żoną, i że zapłacenie tych kilku groszy, to dla biura żadne pieniądze.

W dzień święta Wszystkich Świętych 1972 r. pojechałem na grób rodziców w Kępnie. Był już, staraniem siostry, urządzony i obudowany pięknie płytami kamiennymi i marmurowymi. Wraz z siostrą Haliną przyjechał również nasz wuj Henryk z Wrocławia, przyszła też Jadzia, sąsiadka rodziców z ul. Poznańskiej. Miałem okazję powspominać z siostrą o tych dziesiątkach przyjazdów do rodzinnego gniazda rodziców i licznych pobyków u nich naszych dzieci. Ich dom wraz z całą działką, ogrodem i polem siostra sprzedała, po czym nowy właściciel dokonał gruntownej modernizacji i przebudowy domu. W Kępnie pozostał nam więc już tylko ten kamienny grobowiec rodziców.

Chłopcy nam rośli, zmieniały się ich potrzeby, to też trzeba było zdecydować się na wymianę dotychczasowych, prowizorycznych mebli w ich pokoju. Zaprojektowane ongiś

przeze mnie indywidualne meblościanki do spania i nauki z płyt laminowanych na konstrukcji z metalowych rurek, oddaliśmy więc do komisji. W ich miejsce zakupiliśmy za 15.000 złotych duży zestaw fornirowanych meblościanek typu "Polan", który zajął trzy ściany pokoju. Umeblowania dopełniały tapczan, nowy rozkładany fotel-amerykanka do spania, stolik-jamniczek i kilka krzeseł. Całość bardzo funkcjonalna, praktyczna i estetyczna służyła potem naszym synom przez wiele lat.

Święta Bożego Narodzenia mieliśmy spędzić we Wrocławiu. Tak to przynajmniej wiele miesięcy wcześniej zaplanowaliśmy. Siostra jednakże nasz przyjazd do niej w ostatniej chwili odwołała z powodu nowej serii chorób. Szwagier Tadek miał mianowicie jakąś chorobę wrzodową, Janusz miał kłopoty w pracy, zaś Halina problemy z wątrobą.

W 1972 roku wiele działo się w gospodarce Polski, która rozwijała się wówczas bardzo dynamicznie. Między innymi zakończona została budowa jednej z największych w Europie elektrowni w Turoszowie o mocy 2 tys. MW, pracującej na węglu brunatnym. Szczególnie szybko wzrastały też nakłady inwestycyjne, np. aż o 40 procent w przemyśle lekkim i spożywczym, służących bezpośrednio zaspakajaniu potrzeb ludności. Przy czym wzrost nakładów inwestycyjnych o 22% w całym przemyśle też był rekordowy w skali europejskiej. Średnie tempo wzrostu dochodu narodowego było bardzo wysokie i wynosiło po 9 % rocznie. Wzrastało też zatrudnienie w gospodarce państwowej, która w krótkim czasie kilku lat wchłonęła cały aktualny wyż pokoleniowy, oferując 3 miliony nowych miejsc pracy w dekadzie gierkowskiej.

Następowało równocześnie unowocześnienie przemysłu przy wykorzystaniu technologii i pieniędzy pożyczanych na Zachodzie. Szeroko mówiło się o budowie "drugiej Polski". Ten boom inwestycyjny wyraźnie odczuwany był również w naszym biurze projektowym. W pracowni PW-2 rozpoczęliśmy opracowywanie dokumentacji projektowej na budowę nowych, wielkich osiedli krakowskich Krowodrza-Górka i Prądnik Czerwony. Ja osobiście opracowałem adaptację dużej strażnicy pożarniczej o kubaturze 6.500 m³ na 12 wozów bojowych dla Huty "Katowice". A także mały, ale ciekawy, projekt adaptacji pracowni RTG w Przychodni Zdrowia Budowlanych przy ul. Syrokomi. W skali całego świata można rok 1972 określić niewątpliwie jako odprężeniowy. W kwietniu 70 państw podpisało układ o zakazie stosowania broni bakteriologicznej, w lipcu zakończyła się wojna między Indiami i Pakistanem, prezydent USA Nixon wizytował Chińską Republikę Ludową, był również w Polsce. W czerwcu, po ratyfikacji układu pomiędzy RFN i Polską, Watykan ustanowił wreszcie polskich biskupów na ziemiach zachodnich i północnych Polski.

W dniu 16 lutego 1973 r. odbył się we Wrocławiu ślub mego siostrzeńca Janusza. Miał on już 24 lat i postanowił zmienić swój stan cywilny. Zrobił to z zaskoczenia, informując rodziców o swojej decyzji na kilka dni przed datą ślubu ze swą ukochaną Ewą. My nie zdążyliśmy wziąć w nim udziału.

W pierwszej połowie kwietnia Kasia wraz z chłopcami znów pojechała do swego zakładowego domu wczasowego w Szklarskiej Porębie. Tam w Karkonoszach panowała się jeszcze wówczas zima, nawet w samej Szklarskiej śnieg zalegał kilkunastocentymetrową warstwą. Na szczycie Szrenicy było natomiast co najmniej metr śniegu, mrozy, wietrznie jak zwykle i oblodzone schronisko. Chłopcy uczyli się jeździć na nartach, oczywiście głównie na pomniejszych górkach w samej Szklarskiej, ale dwa razy wyjechali wyciągiem krzeselkowym na szczyt kopiastej Szrenicy. W pewnym momencie Grzesiowi uciekła jedna narta i zjechała po stoku "w siną dal".

W drodze powrotnej zatrzymali się we Wrocławiu, gdzie również i ja dojechałem z Krakowa. Mianowicie były Święta Wielkanocne i na zaproszenie siostry spędziliśmy je, tym razem, u niej we Wrocławiu. Mieliśmy okazję poznać małą Ewę "od Janusza", która

od dwóch miesięcy powiększyła grono wrocławskiej rodziny mojej siostry. Przyjechała także, jak zwykle przy takich rodzinnych okazjach, ciocia Nela i było przez oba dni świąteczne u Haliny szumnie i rojno jak w prawdziwym ulu. A że była piękna wiosenna pogoda, więc zażywalimy długich spacerów wzdłuż naszych ulubionych szlaków: Park Szczytnicki, Hala Ludowa, ZOO, wały Odry, Sępólno.

W 1973 roku, jakby barwniej, i z większym rozmachem, niżli w latach poprzednich, obchodzone były w Krakowie żakowskie juwenalia, Dni Krakowa i tradycyjne wianki. W każdym bądź razie moja rodzina brała w nich większy, niż dotychczas, udział. Oczywiście tylko w charakterze widzów. Kilka razy wraz z synami uczestniczyliśmy w różnych imprezach i widowiskach. Specjalnie dużo działo się w Ryнку Głównym, zwłaszcza w bezpośrednim sąsiedztwie "Adasia", czyli pomnika Adama Mickiewicza. W trakcie juwenalii u jego stóp kończyły się korowody przebierańców po wejściu na Rynek z ulicy Floriańskiej i jego okrażeńiu. Było to też ulubione miejsce dla różnych zbiorowych inscenizacji czy pojedynczych popisów i "wygłupów".

Inną tradycyjną trasę miał wąsaty "Lajkonik", który zaczynał swe harce spod swej restauracji "Lajkonik" przy ul. Zwierzynieckiej. Staliśmy w szpalerze gapiów przy "Jubilacie", gdy groźny Tatarzyn, wymachując buzdynem, wymusił pieniężny haracz od mych synów.

Wszak najokazalszą imprezą, kończącą 24 lipca obchody Dni Krakowa, było wielkie widowisko plenerowe "Światło i dźwięk", rozegrane wieczorem u stóp Wawelu wobec setek tysięcy widzów, zgromadzonych na bulwarach wiślanych. Reżyserował je z rozmachem znany dyrektor "Teatru Stu", Krzysztof Jasiński. Były historyczne sceny z hufcami słowiańskich wojów, wielkie stylizowane postacie królów, gigantyczny smok ziejący ogniem, snopy kolorowych baloników ulatujących w świetle reflektorów lotniczych, spływ Wisłą galarów z rodzajowymi scenkami folklorystycznymi i tradycyjne puszczanie wianków z zapalonymi świeczkami. Wszystko to zakończyło się o północy wielką, wielobarwną feerią ogni sztucznych i kanonadą petard.

W 1973 r. nasi chłopcy zgłosili chęć wyjazdu na harcerski obóz w Bieszczadach. W dniu 4 lipca obaj, wraz z dwoma, czy trzema drużynami, pojechali do miejscowości Stuposiany w Bieszczadach. Tam miał być ich obóz, a faktycznie to był dziewiczy las i leśne polany. Sami harcerze wycięli kilka drzew, karczowali krzewy, postavili namioty, kuchnię i jadalnię obozową, wysypali żwirkiem ścieżki i plac apelowy, zbudowali pomost sztandarowy, ogrodzenie i "małpi gaj" do ćwiczeń sprawnościowych. Mieli tam dobrą szkołę życia z pobudkami, apelami, gimnastyką poranną, myciem w zimnej wodzie potoku, wartami nocnymi, alarmami i pracami kuchennymi.

Synowie opisywali nam szczegółowo, zwłaszcza najtrudniejsze swe przeżycia. Był nim nie wątpliwie dwudniowy pobyt w dziewiczym lesie, gdzie sami urządzali sobie szałas na nocleg, palili ogniska dla podgrzania strawy i urządzali próby na odwagę. Polegały one na dotarciu w pojedynkę nocą do różnych odległych miejsc. Należało tam wyręć na drzewie swe inicjały, za co dostawało się nagrodę w postaci ogonka bobra, wyrzeźbionego na korze. Zdobywanie 10 takich ogonków uprawniało do przynależności do zastępu "leśnych ludzi". Można było te ogonki zdobywać również w sportowych dyscyplinach, jakie organizowane były w "małpim gaju".



W obozie harcerskim w Bieszczadach

W połowie turnusu pojechaliśmy, Kasia i ja,

samochodem znajomych, którzy też chcieli odwiedzić swego syna na obozie w Bieszczadach. Po raz pierwszy byłem w tym prawie bezludnym, acz uroczym zakątku Polski. By dojechać do Stuposian, położonych dwa kilometry od granicy z Ukrainą, musieliśmy objechać pół pętli szosy bieszczadzkiej. Było nas, rodziców, odwiedzających swych harcerzyków, więcej i być może dla nas kierownictwo obozu zrobiło apel zastępu, połączony z wciągnięciem flagi na maszt, a później mogliśmy zwiedzać namioty obozowe i zaproszono nas na harcerski obiad oraz przydzielono nam namiot na nocleg.

Te znajomości z ZHP zaowocowały również naszą kolejną wycieczką zagraniczną. Mianowicie "doczepiliśmy się" do dwutygodniowej wycieczki Moskwa-Krym-Kijów, organizowanej przez Biuro Zagranicznej Turystyki Młodzieżowej "Juventur" dla młodzieżowego aktywu harcerskiego. Załatwiliśmy także udział w tej wycieczce mej siostry Haliny i jej męża. Uczestników wycieczki obowiązywał limit wieku 35 lat i właściwie to nasza 6-osobowa grupa tego limitu nie przekroczyła, licząc oczywiście przeciętnie i z uwzględnieniem naszych obu małaolatów. Zapłaciliśmy jednakże za wycieczkę więcej, niż wynosił przeciętny jej koszt, gdyż z dopłatą 30 % do czterech osób liczących powyżej 35 lat życia.

Impreza rozpoczęła się dla nas rankiem 3 sierpnia, gdy wyjechaliśmy pociągiem do Warszawy, gdzie była zbiórka całej 40-osobowej grupy wycieczkowej. Po południu byliśmy w Brześciu nad Bugiem, skąd po przestawieniu wagonów na szerokie tory, ruszyliśmy do Moskwy. Jechaliśmy wagonami sypialnymi, wyposażonymi w kuszetki. W wagonach, w których przeważali pasażerowie rosyjscy, panowała iście rodzinna atmosfera: wzajemne odwiedzanie się, pogawędki, przyśpiewki, częstowanie herbatą, biesiadowanie.

Na Dworzec Białoruski w Moskwie przyjechaliśmy o 10 rano następnego dnia. Stamtąd stary autokar przewiózł nas na peryferia miasta do trzeciorzędnego hotelu "Altaj". A więc już od początku wycieczki ujawnił się jej raczej niski, taki harcersko-młodzieżowy, standard jakościowy, znacznie niższy niż na naszych poprzednich wycieczkach do Rumunii i Bułgarii. Ale była to bardzo tania impreza, a dla nas komfort warunków zakwaterowania i żywienia nie miał większego znaczenia. Najważniejszym

był program turystyczny wycieczki, a pod tym względem okazała się ona bardzo atrakcyjna, wprost fantastyczna.

Pierwsze popołudnie spędziliśmy na zwiedzaniu miasta, korzystając z przydzielonego wycieczce autokaru. Zobaczyliśmy: hotel "Kijów", jeden z siedmiu strzelistych wieżowców typu warszawskiego PKiN; reprezentacyjny Prospekt Gorkiego w samym centrum miasta; Wzgórze Leninowskie z najwyższym w Moskwie budynkiem Uniwersytetu im. Łomonosowa; stamtąd rozpościerała się rozległa panorama miasta; zespół otwartych basenów kąpielowych z podgrzewaną wodą, czynnych cały rok, nawet w czasie mrozów. Powróciliśmy do hotelu metrem i taksówką

W drugim dniu pobytu w Moskwie zwiedzanie rozpoczęliśmy od wyczekiwania w półkilometrowej kolejce. Stało w niej po cztery-pięć osób w szeregu, najpierw obcokrajowcy, za nami kilkuset elewów uczelni wojskowych, a następnie niekończący się wąż krajan. Szło to jednak stosunkowo szybko i po niespełna godzinie byliśmy u celu - przy sarkofagu z ciałem Lenina w jego mauzoleum na Placu Czerwonym. Wyglądał jak żywy. Następnie szybkie przejście



W tle Uniwersytet

wzdłuż murów kremlofskich z popiersiami i tablicami pamiątkowymi zmarłych polityków, marszałków, działaczy, uczonych: Kalinina, Świerdłowa, Stalina, Korolowa, Gagarina, Tupolewa i innych.

W następnej kolejności zwiedziliśmy na Kremlu Salę Kongresową na 6 tysięcy miejsc i dwie cerkwie, ze złoconymi kopułami, z pośród pięciu otaczających Plac Cerkiewny. Wewnątrz nich wielkie pozłacane ołtarze i setki średniowiecznych, bizantyjskich ikon z misternymi ornamentami z nitek złota, naklejanych czy tłoczonych na malowidłach. Na Placu Kremlofskim stały dwa wielkie dziwa: armata "Car-puszka" o średnicy lufy 80 centymetrów, która nigdy nie wystrzeliła, i olbrzymi dzwon wagi 196 ton. Miał on wisieć obok na wieży katedry Iwana Groźnego, ale przy pierwszych dzwonieniach odleciał kawał ściany dzwonnicy, więc go zdjęto.

Po południu zwiedziliśmy Galerję Treiakowską malarstwa rosyjskiego z kilkudziesięciu salami, ukrytymi za pstrokato-kolorową fasadą niedużego, piętrowego budynku o neoklasycystycznej architekturze. Oczywiście z tyłu istnieją rozległe skrzydła, później dobudowane. Nazwa galerii wywodzi się od nazwiska założyciela, bogatego kupca Treiakowa, który w połowie XIX wieku zgromadził 3 tysiące obrazów malarstwa rosyjskiego. W 1973 roku galeria zawierała 40 tysięcy obrazów, zgrupowanych według autorów. W pierwszej sali wiszą obrazy Rublowa, w następnych Srebrjakowa, Iwanowa, Pietrowa, Wierieszczagina itd. Zapamiętałem jeden wielki obraz z pierwszych sal, przedstawiający trzech wojów na koniach pt. "Czech, Lech i Rus".

Późnym popołudniem pojechaliśmy z częścią wycieczki metrem i taksówką do dzielnicy Ostankino, gdzie znajduje się olbrzymi Ośrodek TV moskiewskiej. Nas interesowała wieża telewizyjna, monstrum o wysokości 535 metrów, do 400 m żelazobetonowa, powyżej stalowy maszt antenowy. Prócz licznych kondygnacji technicznych na wieży są 3 platformy widokowe, 3 piętra restauracji, kilka kuchennych. Restauracje różnią się tylko kolorem wnętrza, stąd nazwy: złota, brązowa i srebrna. Usytuowane są one na platformach, wykonujących obrót wokół swych osi co 15 minut. My pojechaliliśmy bezzszelestną windą na wysokość 347 m, na główną, oszkloną platformę widokową. Oglądaliśmy panoramę miasta jakby z samolotu, ale nawet przez lornetkę nie można było zobaczyć krańców zabudowy. Restauracje oglądaliśmy jedynie z przeszkłonych korytarzy, schodząc kilka kondygnacji w dół schodami ewakuacyjnymi.

Na trzeci dzień pobytu w Moskwie zwiedzaliśmy Wystawę Osiągnięć Gospodarczych Narodów ZSRR, obejmującą 200 pawilonów wystawienniczych na 260 hektarach powierzchni z monumentalnymi założeniami kwietnych gazonów, wodotrysków, z wesołym miasteczkiem, rejonem zakupów pamiątek i konsumpcji. Pawilony wystawowe różnej wielkości, wiele ogromnych, bogato zdobionych, ze złoconymi, witrażami, kolumnami itp. W środku nich setki eksponatów, wykresów, fotosów, modeli itd. Trzeba by kilku dni, żeby to wszystko z grubsza oglądnąć.

My w trzy godziny "przelecieliśmy" przez pięć pawilonów: elektrotechniki, elektroniki, rolnictwa, komunikacji i kosmonautyki. Ten ostatni oczywiście najbardziej atrakcyjny i najliczniej odwiedzany. Wielka sklepiona hala, a w środku setki oryginalnych, lub modele, aparatów i urządzeń kosmicznych w skali 1:1. Pierwsze sputniki, obiekty telekomunikacyjne, statki załogowe, łunochod, rakiety przeróżnych typów, skafandry kosmonautów, zdjęcia Ziemi z Kosmosu, wielki globus Księżyca. Przed pawilonem, jako główny akcent na specjalnym wysięgniku umieszczona była rakietka "Wo-



W hali kosmonautyki

stok" wysokości 28 metrów, obok kilka samolotów odrzutowych, udostępnionych zwiedzającym. Wszystko to dla moich chłopców było bardzo ciekawe i co chwilę musiałem robić im zdjęcia na tle różnych dziwów kosmicznych.

W jednym z pawilonów wystawowych oglądaliśmy 20 minutowy film w cirkoramie, to jest kinie, jakby w formie beczki, z ekranami naokoło widzów, którzy stali w środku. Film był turystyczno-krajoznawczy, więc na przykład narciarze jechali wprost na nas, przejeżdżali obok i zjeżdżali w dół za nami. Albo taniec huculów wokół nas. Trzeba się było w kółko obracać, a przynajmniej kręcić ciągle głową.

W sumie Wystawa Osiągnięć Gospodarczych w Moskwie była kolejnym dowodem na lubowanie się Moskwiczów w gigantomanii. Zresztą przewodnicy wyliczali nam wciąż różne obiekty, znajdujące się w Moskwie, a będące największymi na świecie. Takimi "naj", obok Wystawy, były jeszcze: wieża TV w Ostankino, Uniwersytet im. Łomonosowa dla 40 tys. studentów, hotel "Rossija" na 6 tys. gości, Biblioteka im. Lenina - 10 kilometrów książka, przy książce, Galeria Tretiakowska z 40 tys. obrazów, kino "Rossija" też dla 6 tys. widzów, scena teatralna 80*40 m w Sali Zjazdów na Kremlu.

Po południu w programie było zwiedzanie panoramy bitwy pod Borodino. Znów wielkie kolejki, ale nas "innostranców" przepuszczono przed tubylcami. Wyłonił się natomiast inny problem - obyczajowy. Dwie dziewczyny z naszej grupy wycieczkowej ubrane były w szorty i obsługa nie wpuściła je do budynku, musiały czekać na zewnątrz przy wielkim konnym pomniku Kutuzowa. A w środku cały ceremoniał. Wpiew kilka sal z rycinami, portretami, obrazami, mapami, zdobycznymi sztandarami i innymi eksponatami, starannie i dokładnie objaśnianymi przez przewodników. Zwiedzający musieli wysłuchać całej historii wojennej wyprawy Napoleona na Rosję, którą rozpoczął z 640-tys. armią, by stracić 580 tys. żołnierzy, zabitych i wziętych do niewoli.

Potem dopiero właściwa panorama. Jest to rotunda o średnicy 35 m, długości obrotu 115 m, wysokości 15 m. Na obrazie widać bitwę tysięcy żołnierzy, z setkami armat, płoną domy. Pomiędzy obrazem, a barierką platformy widokowej, ziemia zryta okopami i pociskami, porożbijane działa, polne drogi, resztki obozowiska, popalone domy. Trudno było odróżnić, gdzie kończy się obraz, a zaczyna makietą. Zakładałem się ze szwagrem, czy kolejny słupek ogrodzenia to już prawdziwy palik, czy jeszcze obraz. Panorama była bardzo realistyczna i sprawiała rzeczywiście niesamowite wrażenie. Wieczorem robiliśmy zakupy w domu towarowym "Dietskij sad". Cztery kondygnacje, budynek ok. 200 tys. m³ kubatury, wszystko dla dzieci. My kupiliśmy pluszowego pieska, drewnianą rozkładaną babuszkę - cztery w jednej, miniaturę wieży TV w Ostankino i kilka prześlicznych lalek na upominki dla rodziny i znajomych w Krakowie.

Z wrażenia wycieczki nie sposób pominąć metra i w ogóle komunikacji publicznej w Moskwie. Metro jest bardzo głębokie, zbudowane 50-100 m pod powierzchnią. Pięć linii długości po 20-30 km każda, przecinały miasto w różnych kierunkach, zbiegając i krzyżując się w centrum. Dodatkowo połączone są one wszystkie przez szóstą linię obwodnicową, tak zwane "kalco", okrążającą śródmieście. Wówczas w 1973 r. było 54 stacji metra, prawie każda w innym wystroju. Te śródmiejskie, które oglądaliśmy, wykładane były różnokolorowymi marmurami, zdobione malowidłami, rzeźbami, witrażami. Przejazd metrem kosztował 5 kopiejek, jakie wrzucało się do automatu przy zejściach na ruchome schody.

Moskwa ma także rozbudowaną sieć trolejbusów, autobusów i tramwajów. Te ostatnie tylko na peryferiach. Bardzo tanie i popularne były taksówki, którymi były wyłącznie samochody "Wołgi", przypisane do poszczególnych rejonów miasta. Trzeba było się w tym orientować, żeby móc z nich korzystać.

W dniu 7 sierpnia nasza grupa wycieczkowa pożegnała się z hotelem "Altaj" i autokarem pojechaliśmy na lotnisko Wnukowo. Jechaliśmy pełne 20 minut przez niekończą-

ce się nowe osiedla mieszkaniowe Moskwy, z dominującą 8-9 kondygnacyjną zabudową. Moskwa nie posiada w ogóle przedmieść z niską zabudową, tak charakterystycznych dla polskich miast.

Na lotnisku ruch był olbrzymi, co chwilę startował, lub lądował, jakiś samolot. My poleciliśmy na Krym 120 osobowym, dwusilnikowym samolotem odrzutowym Tu-104, który to typ zapoczątkował w ogóle światowe cywilne lotnictwo odrzutowe. Samolot był pełny, a obsługiwała nas jedna stewardessa, częstując cukierkami do ssania przy starcie i lądowaniu oraz kubeczkami musu jabłkowego. Samolot leciał z szybkością 900 km/godz na wysokości 9000 m, obniżył swój pułap dopiero nad półwyspem Krymskim.

Zawsze myślałem, że północny, nizinny Krym to tylko step. Zobaczyłem natomiast szachownicę wielkich pól uprawnych z siecią kanałów nawadniających, odgałęziających się od wielkiego kanału biegnącego od zapory w Kachowce na Dnieprze do półwyspu Kercz, przecinającego na ukos cały Krym. Wśród pól regularnie rozmieszczone małe wsie sowchozowe z szeregi domków rodzinnych i zabudowaniami gospodarczymi. Lotnisko w Symferopolu, na którym wylądowaliśmy, położone było daleko od centrum miasta. Trolejbusem pojechaliśmy do śródmieścia, do umówionej restauracji na obiad, i celem zwiedzenia miasta. Niczym szczególnym się ono nie wyróżniało. Po powrocie na lotnisko mieliśmy jeszcze przez kilka godzin oczekiwać na przyjazd autokaru, który miał nas zabrać na miejsce zakwaterowania. Wraz z chłopcami wałęsałem się więc po lotnisku i najbliższej okolicy.

Dworzec lotniczy w Symferopolu przypominał mi bardzo polskie dworce kolejowe. Tak ze względu na duży ruch, jak i jego organizację. Na frontonie budynku wisiał wieloszpaltowy rozkład jazdy, wszędzie można się było swobodnie poruszać, nie było rozdziału na pasażerów przyjeżdżających i odjeżdżających. Na bagaż oddawało się tylko duże walizy i toboły, a ludzie taskali ze sobą nawet spore torby, siatki, widzieliśmy także kobiece z żywymi kurami w koszyku. Pasażerowie przychodzili w ostatniej chwili, bilety stanożyły małe świstki papieru, zaś do samolotów podchodziło się na piechotę.

Można było to wszystko zrozumieć jedynie przy uwzględnieniu faktu, że podróż samolotami w ZSRR była bardzo tania i opłacało się jechać wszędzie już na trasach powyżej 100 kilometrów. Oczywiście na tych krótkich, niejako autobusowych, trasach latały przeważnie niewielkie samoloty, bynajmniej nie błyszczące elegancją i komfortem. W pewnym momencie przed budynkiem dworca zapachniało nam szaszłykami, smażonymi na ruszcie w barze na otwartym powietrzu. Chłopcy usiedli przy stoliku, ja stanąłem w przydługiej kolejce. Chciałem kupić jedną porcję, które zresztą były dość duże, by ją podzielić na trzy mniejsze. Dziwiło mnie natomiast, że wszyscy przede mną kupowali po 2-3 szaszłyki. Początkowo myślałem, że dla kilku osób, ale tubylcy mieli świetne apetyty i zżerałi w pojedynkę po kilka porcji. Gdy doszedłem do rusztu, zobaczyłem już tylko gołe pręty. Musieliśmy obejść się smakiem i pójść do naszej grupy wycieczkowej, gdyż przyjechał akurat nasz autokar.

Przez góry i ostre serpentyny zawieziono nas do odległej o 70 km Jałty, ale zatrzymaliśmy się, późnym już wieczorem, kilkanaście kilometrów dalej, w Gurzuf. Była to miejscina, licząca kilka tysięcy mieszkańców, dosłownie przyklejona do stoku góry nad niedużą zatoką morską. Miała kilka domów wczasowych, mały port rybacki, przystań, dom towarowy, kręte uliczki i rozle-



Na centralnym placu w Jałcie

głą, lecz bardzo wąską plażę. Tłumy wczasowiczów, chyba gnieździł się po prywatnych domach. My zamieszkaliśmy w 3-piętrowym hotelu "Družba", tuż nad brzegiem morza, do którego schodziło się kilkadziesiąt metrów w dół stromymi schodkami.

Lecz to wszystko ukazało się naszym oczom dopiero następnego dnia, gdy po śniadaniu wybraliśmy się na czarnomorską plażę. Była wąska na 10 metrów, od strony góry ograniczona betonową ścianą, i nie było na niej piasku. Po prostu plaża była sztucznie usypana z kamieni i żwiru, dowiezonego z gór, a leżało się na pryzkach z drewnianych łat. Przed pójściem na plażę informowano wszystkich o tym, że 10 metrów od brzegu zaczyna się głębia morska. A także ostrzegano przed nadmiernym opalaniem się wobec zdradliwości słońca, które działało ponoć z podwójną mocą, gdyż jego promienie odbijały się w morzu. Kupiliśmy więc niezwłocznie dla chłopców i szwagra białe, płócienne krymki, to jest czapki z bardzo długimi daszkami, chroniącymi przed słońcem. Ja mówiłem, że jako hucul jestem odporny i na mrozy i na upały, i czapki żadnej nie potrzebuję. Ta bufonada się nie sprawdziła, ale o tym potem.

Po południu, na własną rękę, zwiedzaliśmy miasteczko, zaś chłopcy objadali się lodami. Te "morożenoje" towarzyszyły nam zresztą od początku wycieczki, już w Moskwie. Gustowała w nich zwłaszcza moja siostra. Natomiast Kasia i nasi chłopcy, nie stroniąc bynajmniej od tych zimnych słodkości, objadali się, przy wszystkich możliwych okazjach, kawonami. Mnie te frykasy nie pociągały, za to musiałem płacić za nie swymi przydziałowymi rubelkami, bo normalnie "trzymałem kasę".

Następnego dnia cała nasza harcersko-młodzieżowa grupa wycieczkowa pracowała społecznie, wycinając w sąsiedztwie hotelu "Družba" chwasty, zamiatając podwórko, ścieżki i schodki na plażę itp. Lecz tylko przez jedną godzinę. Potem śniadanie i, zgodnie z turystycznym programem wycieczki, nastąpił wyjazd statkiem do Jałty.

Na całym wybrzeżu krymskim statki są podstawowym środkiem komunikacji między poszczególnymi miejscowościami. Na ogół nie mają one wzajemnych połączeń drogowych, bo góry tu i ówdzie schodzą wprost do morza. Na przykład trzeba serpentykami z Gurzuf wyjechać na rakadową drogę za szczytami Gór Krymskich, by potem podobnymi serpentykami zjechać do Jałty. Przejazd statkiem jest bezproblemowy i znacznie szybszy.

Jałta to największe uzdrowisko i port na południowym wybrzeżu Krymu. Liczy jednakże tylko 60 tys. mieszkańców, choć zabudowane zostały wszystkie okoliczne tarasy terenowe i stoki górskie. Główną reprezentacyjną część miasta stanowią szerokie, spacerowe bulwary nadbrzeżne, w sąsiedztwie których skupione są ciasno najważniejsze gmachy urzędów, sanatoria, domy wczasowe, ośrodki handlowe itp.

Jak zwykle, z Kasią i chłopcami, urwaliśmy się wycieczce i krętymi, stromymi uliczkami Jałty zapuściliśmy się daleko w głąb miasta, docierając do jakiegoś dużego targowiska kołchozowego. Był to dzień targowy i kłębił się tam tłum tubylców. My kupiliśmy za kilka kopiejek ulubione kawony, poczym spłynęliśmy szybko w dół na bulwary nadbrzeżne, zdobione fontannami, palmami i innymi egzotycznymi roślinami i gdzie głównym, słyszczanym językiem był angielski i niemiecki.

W kolejnym dniu pobytu w Gurzuf zwiedziliśmy Nikitski Ogród Botaniczny, położony niedaleko na stokach góry, z pięknymi widokami na morze. Założony został w 1812 roku i były tam chyba wszystkie dostojne drzewa tego świata: cyprysy, pinie, tuje, palmy, bambuse, cedry, a także setki gatunków krzewów i kwiatów.

Najbardziej turystyczny był jednak następny dzień, choć akurat padał chwilami deszcz. Do południa zwiedziliśmy pałac w Liwadii, w którym w lutym 1945 roku odbyła się konferencja przywódców trzech mocarstw alianckich: Roosevelta, Churchilla i Stalina. Na werandzie stały krzesła, na których oni wówczas siedzieli, a obok umieszczone były wielkie fotografie z tamtej Konferencji Jałtańskiej.

Po południu zwiedziliśmy miasteczko pionierów Artek. Nad piękną zatoką kilkanaście domków wczasowych, duże boisko, liczne place do gier i zabaw, bogaty egzotyczny drzewostan. Corocznie przez ośrodek przewijało się wtedy, w 40-dniowych turnusach, około 30 tysięcy dzieci, w tym wiele z zagranicy. Moi chłopcy, jak zresztą i część starszej młodzieży, uczestników wycieczki, wystąpili w mundurach harcerskich. Specjalnie mój Grzesiek cieszył się niebywałym zainteresowaniem obozowych pionierów, którzy oblegali go, bo miał na wymianę turystyczne odznaki polskich miast.



W dwóch ostatnich dniach krymskich zrobiła się słoneczna pogoda, a uczestnicy naszego Krymie szczytu wycieczki wrócili na ciasne plaże Gurzuf. Faktycznie tak ciasne, że gdyby wszyscy plażowicze zechcieli się równocześnie położyć, to dla połowy z nich nie starczyłoby miejsca. Mnie po wielogodzinnej plażowaniu rozboleła głowa i dostałem lekkiego udaru słonecznego. Pilotka wycieczki natychmiast wezwała pogotowie lekarskie i miła pielęgniarka zaaplikowała mi bezlitośnie potwornie bolesny zastrzyk, który jednakże od razu postawił mnie na nogi.

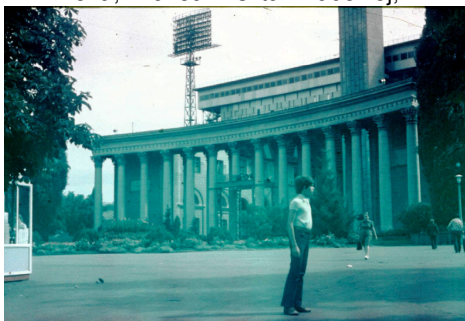
W Artek nad Morzem Czarnym

Potem, żeby ominąć zwodnicze słońce, zamiast pojechać na atrakcyjną wycieczkę statkiem w głąb Morza Czarnego, wybraliśmy się rodzinną czwóreczką do sąsiedniego ekskluzywnego Parku Sanatorium Ministerstwa Obrony. Byliśmy tam w towarzystwie rodziny inżyniera budowlanego z Dniepropietrowska na Ukrainie. Zaprzyjaźniliśmy się z nimi i prowadziliśmy później korespondencję listowną przez kilka lat.

W dniu 14 sierpnia zakończył się krymski etap wycieczki i, po przejeździe autokarem do Symferopola oraz 65 minutowej podróży odrutowym samolotem Tu-134, późnym wieczorem tegoż dnia znaleźliśmy się w Kijowie.

Kijów był trzecim co do wielkości miastem ZSRR, licząc 1.800 tys. mieszkańców, a więc nieco więcej od Warszawy. Podobnie jak stolica Polski, Kijów w czasie II wojny światowej został prawie doszczętnie zniszczony. Natomiast różnił się od Warszawy bardziej jednostajną zabudową. Przeważały domy o wysokości 8-9 kondygnacji, wykładane płytkami ceramicznymi koloru żółtego. Drugim kolorem dominującym w mieście była niewątpliwie zieleń, gdyż miasto jest pełne parków, skwerów - ponoć posiada najwięcej terenów zielonych, licząc na 1 mieszkańca, z pośród dużych miast na świecie.

W trakcie autokarowej wycieczki zwiedziliśmy główną ulicę Kreszczatik; zabytkowy zespół klasztorno-cerkiewny Ławry Peczerskiej z XI wieku; muzeum sztuki ludowej, prezentującej zwłaszcza ceramikę, samodziały i wyroby z drewna; a także centrum miasta z licznymi pomnikami. W ogóle tych pomników Kijów posiadał ponoć również najwięcej na świecie. A najważniejsze z nich to pomniki Tarasa Szewczenki, narodowego poety w XIX wieku, i Bohdana Chmielnickiego, który połączył Ukrainę z Rosją w 1654r. Zwiedziliśmy też centralny stadion sportowy "Kijów-Dynamo" na 105 tysięcy widzów. Wybudowany w 1941 r., miał być oddany do użytku akurat w dniu 22 czerwca 1941 roku, gdy Niemcy uderzyły na Rosję.



Maciek przed stadionem „Kijów-Dynamo”

W czasie wojny Niemcy zorganizowali na stadionie mecz piłkarski zawodników kijowskiego Dynama ze swą najlepszą reprezentacją Luftwaffe. Gdy do przerwy wynik był 3:1 dla Dynama, powiedziano ukraińskim zawodnikom, że jeśli Luftwaffe nie wygra, to zostaną oni rozstrzelani. Dowiedziała się o tym publiczność na stadionie i wszyscy drugą połowę meczu oglądali na stojąco i w absolutnej ciszy. Dynamo wygrało 5:3 i faktycznie jego zawodnicy zostali wtedy aresztowani. Na otwarciu stadionu w 1946 r., po powojennej odbudowie, zaproszono wszystkich tych, którzy posiadali bilety na ten pierwszy, planowany w 1941 roku, mecz piłkarski. Od 1970 roku, nieliczni żyjący z pośród nich, mieli wolny, bezpłatny wstęp na wszelkie imprezy na stadionie.

Kijów posiadał w 1973 roku jedną 20-kilometrową linię metra. Zjeżdżaliśmy do niego dwoma bardzo długimi schodami ruchomymi, a w przejeździe do lewobrzeżnej części miasta, dzielnicy Darnicy, kolej nagle wyjechała z tunelu na most na Dnieprze i dalej poruszała się na nasytach i estakadach nad powierzchnią ziemi. Bo prawy brzeg to płaskowyz, a lewy stanowi piaszczysta nizin. Po Dnieprze także odbyliśmy niewielką wycieczkę statkiem rzeczny, przejeżdżając pod pięcioma kijowskimi mostami, jakie łączyły oba brzegi rzeki, szerokiej na 400 metrów.

Wieczorem siostra kupiła w sklepie piekarniczym, znajdującym się obok naszego hotelu, bardzo tani torcik wielkości małego talerza. Okazał się również smaczny, więc zjedliśmy go niezwłocznie, zapijając "szampanskoje". Naszym wzorem uczyniła tak też cała reszta polskiej grupy wycieczkowej, wykupując wszystkie torty w tej piekarni.

Ostatni dzień wycieczki przebiegał pod znakiem zakupów. Akurat aura ku temu była bardzo sprzyjająca, gdyż padał ulewny deszcz. My, w pelerynach i pod parasolami, wybraliśmy się do największego w Kijowie domu towarowego "Ukraina": 5 kondygnacji, 200 metrów długości. Jako "bankier" rodziny miałem jeszcze nieco ponad 100 rubli, to jest równowartość 1.700 złotych polskich według oficjalnej taryfy, a faktycznie ponad dwa razy więcej. Wydaliśmy z przyjemnością całą tę kwotę, zakupując: aparat fotograficzny "Zenit", żelazko z nawilżaczem, elektryczną szczotkę z odkurzaczem, maszynkę do golenia, magnetyczne szachy, lampkę bateryjną, różne szkatułki ozdobne, perfumki i walizkę na to wszystko.

Stoiska były samoobsługowe, więc zakupy czyniło się łatwo, choć pewnym utrudnieniem był brak koszyczków i trzeba było towar trzymać w rękach. Natomiast w kilku przypadkach mieliśmy trudności z zapłatą należności, gdyż nie mogliśmy znaleźć właściwych kas. U nas na ogół wszystko to wyglądało w 1973 r. akurat odwrotnie. Wieczorem odjazd z Kijowa pociągiem do Warszawy, w sypialnych wagonach. W Brześciu nad Bugiem byliśmy około godziny 10-tej rano 17 sierpnia, w Warszawie o 15-tej, a w Krakowie dopiero o 22-giej. W ten sposób po 15 dniach, licząc z przejazdami, zakończyliśmy swą trzecią, pełną wrażeń, rodzinną wycieczkę zagraniczną.

Już na drugi dzień po powrocie z wycieczki Moskwa-Krym-Kijów poszedłem do biura, mimo iż była to sobota i miałem jeszcze urlop w tym dniu. Chodziło mi o to, żeby zapoznać się z wszystkimi sprawami i problemami, jakie miały miejsce w pracowni PW-2 w czasie mojej nieobecności. Przeglądałem też całą zaległą korespondencję i zabrałem ją do domu, by przygotować odpowiedzi czy informacje. Za to od poniedziałku funkcjonowałem już w pracowni tak, jakbym w ogóle nie był na urlopie.

W biurze zastałem kilka zleceń inwestorskich na opracowanie nowych poważnych dokumentacji projektowych. Dotyczyły one, między innymi, budowy wytwórni prefabrykatów wielkopłytowych. Mianowicie we wczesnych latach siedemdziesiątych budownictwo mieszkaniowe w Polsce wchodziło szybko w epokę technologii wielkopłytowych. Miały one umożliwić sprostanie ambitnym planom budowy po 300 tysięcy mieszkań rocznie w skali kraju. Wyliczono bowiem, że dopiero wtedy realnym będzie realizacja

ogólnonarodowego hasła: "Własne mieszkanie dla każdej rodziny".

Wcześniej niezbędna była budowa odpowiednich zakładów zamkniętych i poligonowych dla masowej, przemysłowej produkcji prefabrykatów wielkopłytowych. Również nasze biuro, także moja pracownia, miała w tym swój udział. W okresie kilku lat wykonaliśmy dokumentację projektową na budowę Wytwórni Prefabrykatów WUFT przy ul. Dobrego Pasterza w Krakowie oraz wytwórnie poligonowe w Ralsku, Chrzanowie, Kobierzynie i Tarnowie. W ogóle pierwsza wielka fabryka domów w Polsce uruchomiona została w Warszawie 19 września 1972 roku.

Totalna prefabrykacja objęła też budynki użyteczności publicznej. W tym czasie otrzymaliśmy, między innymi, zlecenie na adaptację dokumentacji projektowej dla kolejnych trzech pawilonów handlowo-usługowych, importowanych z NRD dla Krakowa. Ja sam w okresie do końca 1973 roku opracowałem projekty zagospodarowania przestrzennego i adaptację rysunków roboczych dla dwóch kolejnych pawilonów, zlokalizowanych na osiedlu "Lotnisko" w Nowej Hucie i "Przy Bramie Hił". Oba z przeznaczeniem na supermarkety, o kubaturze 4.200 i 3.000 m³. Adaptację dokumentacji projektowej dla trzeciego pawilonu, zlokalizowanego przy Alei Pokoju, wykonał A. Ścigalski.

Z urlopowych wojaży przywiozłem prawie 300 zdjęć, kolorowych przeźroczy. Dałem je do wywołania, a potem ich oprawa w ramki i ponumerowanie zajęło mi kilka wieczorów. A kilka dalszych poświęciliśmy rodzinie na przeglądnięcie tych zdjęć. Zakupiłem w tym celu duży diaskop, to jest aparat do wyświetlania przeźroczy i specjalny rozwijany ekran wraz ze stojakiem.

Od września Grześ zaczął uczęszczać już do piątej klasy szkoły podstawowej, a Maciek do siódmej, kontynuując równocześnie naukę języka francuskiego na kursie III stopnia w "Pałacu pod Baranami" w Rynku Głównym. Podobnie jak dotąd nauka nie sprawiała im większych trudności czy problemów.

W jedną niedzielę września spotkaliśmy się z mą siostrą i jej mężem w Katowicach. Byliśmy w takim samym składzie jak na wycieczce w ZSRR, to znaczy ja z Kasią zabraliśmy obu naszych synów. Ich dzieci: Janusz, młody żonkoś, i Grażyna, dorosła pannica, oczywiście z rodzicami na urlopy i wczasy nie chcieli już jeździć. Za to oni oboje, za przyczyną bardzo udanej wycieczki do ZSRR, zarazili się, naszym przykładem, bakcylem zagranicznych wojaży i od tego czasu prawie co roku spędzali część swych urlopów za granicą. To spotkanie w Katowicach, przy pięknej, słonecznej pogodzie, to była taka mała jednodniowa krajowa reminiscencja naszych wspólnych zagranicznych wczasów.



Maciek przed katowickim „Spodkiem”



Ze szwagrem w Katowicach

Katowice zwiedzaliśmy z zainteresowaniem, gdyż to duże miasto w tamtych latach intensywnie się rozbudowywało. Śródmieście wypełniło się szeregiem nowych wieżowców, wybudowany został kolejny duży dom towarowy i przyśpieszono gruntowną przebudowę centralnego dworca kolejowego. Wielka hala widowiskowo-sportowa na około

10 tys. widzów, tak zwany "Spodek", usytuowana w centrum miasta naprzeciwko Pomnika Powstańców Śląskich, została już oddana do użytku i aktualnie odbywały się tam występy Zespołu Pieśni i Tańca im. Aleksandrowa.

Na początku lat siedemdziesiątych zapanowała moda na serwowanie przez Polską Telewizję długich seriali rodzimej produkcji. Po historycznych "Pan Wołodyjowski" i

"Potop" wyświetlane były seriale o tematyce aktualnej, między innymi "Czterdzieściolatek", a później "Dyrektorzy". Te ostatnie były już w kolorze. Wszystkie one miały bardzo duże powodzenie i podczas premierowych emisji dosłownie pustoszały ulice, gdyż ludzie gromadzili się przed swymi domowymi kinami. Faktycznie był to okres czasu, gdy telewizja w widoczny i natrętny sposób wkraczała w życie przeciętnych obywateli. Nie sposób było nie oglądać takich audycji jak np. czwartkowe "Kobry", niedzielne "Teatry TV", wywiadów, prowadzonych z ciekawymi ludźmi przez Irenę Dziedzic, "Spotkań z piosenką" Lucjana Kydryńskiego, relacji z festiwali w Sopocie i Opolu i szeregu innych.

To też co dziennie traciliśmy coraz więcej czasu przed szklanym ekranem. Dotyczyło to również całej mej rodziny, a ponieważ było nas czworo, to niekiedy występowały różnice zdań co do korzystania z pierwszego czy drugiego programu. Na szczęście więcej programów wtedy polska TV nie nadawała. Dylemat ten rozwiązałem jednakże w prosty sposób, zakupując drugi przenośny telewizor "Junost" z małym, bodaj 9-calowym ekranem. Oczywiście był to telewizor czarno-biały, kolorowych małych odborników na naszym rynku jeszcze chyba wtedy nie było.

Szybki rozwój telewizji w sposób oczywisty wpłynął na życie publiczne i zachowania społeczne obywateli. Przykuwając ludzi do domowych ekranów, odciągała ich ona wyraźnie od różnych innych form życia społecznego. Zaczęła szybko spadać frekwencja w kinach i teatrach, i zaczęły zanikać, dotąd szeroko praktykowane, różnego rodzaju spotkania, imprezy, filmy organizowane w zakładach pracy i tp. W moim biurze już nie wyświetlano filmów animowanych dla dzieci pracowników, miały one bowiem kina w swych własnych mieszkaniach. Ostały się tylko większe okazjonalne imprezy, jak akademie "ku czci" i bale taneczne. Taki właśnie bal zorganizowany został w moim biurze, z okazji 20-lecia jego powstania, w ostatnią sobotę października. Wziąłem w nim udział wraz z żoną, która miała okazję zapoznać mych współpracowników biurowych. Bal odbył się w pięknych salach Klubu Oficerskiego przy ul. Bitwy pod Lenino, był bardzo okazały i trwał całą noc.

Święta Bożego Narodzenia spędziliśmy znów bardzo rodzinnie. To znaczy przyjechali do nas, do Krakowa, rodzina mej siostry Haliny wraz z synową, oraz ciocia Nela. Było nas więc razem dziesięcioro i znów czas wolny od konsumpcji i domowych dyskursów wykorzystywaliśmy przede wszystkim na spacer. Tym razem głównym ich teatrem był Zamek i Wzgórze Wawelskie. A głównym tłem dla zdjęć pamiątkowych był wielki, żelazny, uskrzydłony smok, autorstwa znanego rzeźbiarza krakowskiego J. Chromego, jaki od kilku miesięcy straszyl swym wyglądem spacerowiczów pod murami wawelskiego zamku.

W geopolityce w 1973 roku zdarzenia pozytywne i pokojowe dość równomiernie przeplatały się z tragediami i wojnami. Ostatecznie w lutym USA wycofały swe wojska z wojny wietnamskiej, ale trwała ona tam dalej jako wojna Północy z Południem. Dwa wojskowe zamachy ustrojowe: republikański w Afganistanie w lipcu zlikwidował władzę króla, zaś wrześniowy pucz gen. Pinocheta w Chile usunął (także fizycznie) panującego prezydenta Allende. W październiku rozgorzała czwarta wojna arabsko-izraelska, tym razem wszczęta przez Syrię i Egipt z zamiarem odbicia Półwyspu Synaj i Wzgórz Golan, co się jednakże nie udało